Nr. 16 (1164). Warszawa, dnia 5 (18) Kwietnia 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ: POLITYKA: Sędziowie Dreyfusa. — Listy z Wiednia, p. zz. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Powrót, powieść (c. d.), p. Wacława Sieroszewskiego. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Z nad Warty i Odry, p. Pośrednika. — O inspekcyi fabrycznej w Niemczech, p. Erka. — FEJLETON: Pamiętnik. — BADANIA NAUKOWE: Morze i pustynia (dokończenie), p. Wacława Nałkowskiego. — LITERATURA I SZTUKA: Knut Hamsun w ostatnich swoich pracach, p. Józefę Klemensiewiczową. — Ze sztuki, p. Sierpa. — POEZYE: Ostatnia ucieczka, p. Wiktora Dzierżanowskiego. — Na marginesie. — Doniesienia urzędowe. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

Sędziowie Dreyfusa.

Oddawna już zapowiadał Jaurès, że na podstawie wcale nieznanych dowodów poruszy w Izbie sprawę postępowania sztabu generalnego w procesie rewizyjnym Dreyfusa z r. 1898. Już d. 23 marca wniósł był ogólnikowo odpowiednią mocyę; Izba jednak nie chciała wówczas rozprawiać, mając do zepchnięcia budżet. Wystąpienie marcowe wybitnego socyalisty zakończyło się dyalektycznym jego pojedynkiem z Ribotem, który z dziwnych w człowieku rozumnym pobudek jakoby patryotycznych w r. 1898 osłaniał powagą swego słowa i sam sztab i całą zgraję nacyonalizmu, wyjącą na rzeczpospolitę, aby po zwaleniu jej lizać pierwszą lepszą rękę, co Francyę w łańcuchy zakuje. Odłożone w marcu uzasadnienie interpelacyi wraz z rozprawami nad nią weszło na porządek dzienny Izby d. 6 b. m. Nacyonaliści nie sprzeniewierzyli się sobie: sprawę sztabowców uznali za sprawę godności narodowej i ojczyzny przez niecnych synów szarpanej, a gdzie naród i ojczyzna, tam oczywiście i nacyonalizm, zawsze do boju gotowy. Wywiązała się tedy walka między człowiekiem, przynoszącym światło a nieczystymi duchami, które je od początku procesu Dreyfusa gasiły. Dwa dni trwały rozprawy, ale nie minęły bez pożytku.

Dnia 6 b. m. Jaurès przedstawił Izbie dowód niezbity intryg i nieuczciwości, jakiemi się splamili oficerowie sztabu generalnego francuskiego, chcąc koniecznie Dreyfusa uczynić zdrajcą narodu. Dowodem tym jest list gen. Pellieux, podwładnego gubernatora Paryża, Zurlindena, z d. 31 sierpnia 1898 r. W liście tym generał pisze: „Nie mając zaufania do zwierzchników, *nakazujących fałszowanie* dokumentów, proszę o uwolnienie mnie ze służby czynnej.“ Obecny w Izbie Cavaignac przyznał prawdziwość listu, zapewnił wszakże, iż go nie znał, w rękach go swoich nie miał; ale z zapewnienia tego nawet własni jego towarzysze broni, nacyonaliści, skorzystać się nie odważyli — oni, co przecież walczą nawet pociskami, wydobywanymi ze ścieków ulicznych. Gdy Brisson, w r. 1898 prezes ministrów, zwrócony do Cavaignaca, rzucił mu w twarz niegodne zatajenie dowodu przed kolegami, odczytanie Izbie w r. 1898 listu fałszywego, świadomość fałszerstwa, jakiego się dopuścił Henry; gdy mu przypomniał czyste imię ojca, splugawione przez syna i kazał mu tylko błogosławić amnestyę, zapewniającą bezkarność przestępcom — nietylko Cavaignac, ale i szachraje ze sztabu stanęli odrazu pod pręgierzem. Był to punkt kulminacyjny całej rozprawy, pełen prawdy i grozy. Odkrycie wywołało wrażenie zamierzone, oświetliło ciemne zaułki sztabowe, napiętnowało niegodziwego ministra i przez samą przeciwstawność wzmocniło i samowiedzę i stanowisko polityczne żywiołów radykalnych w Izbie.

Wyjaśnienia, dane przez Jaurèsa nazajutrz, nie zostawiają żadnej wątpliwości w tym punkcie, w którym już podczas rewizyi procesu w Rennes umysłom poważniejszym jako główny reżyser fałszu ukazywał się gen. Mercier. Człowiek ten trzymał sędziów pod obuchem strachu. Nie było nigdy żadnego listu cesarza Wilhelma, nie było też niebezpieczeństwa dla Francyi w złożeniu sądowi wrzekomego jego oryginału. Cavaignac o wszystkich sprawkach sztabowców wiedział, ale je przed kolegami ukrywał. Według Brissona w *Siècle*'u od 14 do 30 sierpnia 1898 r. utrzymywał gabinet w zupełnej niewiadomości o fałszerstwie Henry'ego. Chcąc zaryglować drzwi przed sprawiedliwością, skłonił niegodziwca do samobójstwa (które może jeszcze kiedyś okaże się morderstwem przez grozę bezpośrednią spełnionem). Nie mylili się ci, co w r. 1898 w sądzie rewizyjnym widzieli, czuli, przeczuwali tę samą kałużę, w której brnęli intryganci, letkiewicze i przyjaciele różnych dam zakwefionych w sztabie generalnym. Gdyby nie amnestya, zapewniająca bezkarność jawnemu przestępcy Cavaignacowi, powinnością państwa republikańskiego, opartego przecież, jeśli nie na cnocie, to przynajmniej na prawie, byłoby oddanie pod sąd tych sztabowców, którzy w latach 1894 i 1898 kierowali wyrokowaniem z za kulis sprawiedliwości. Gdy to jest niemożliwem, niechajby przynajmniej dla samego porządku, dla dobra służby, minister wojny przeprowadził śledztwo, aby wykryć ręce nieczyste — i zbrukane sumienia; taki ma dziś obowiązek.

Spełnienie tego obowiązku zapowiedział André d. 7 b. m. i ta zapowiedź, przyjęta oklaskami przez szczerą lewicę, jest dotychczas jedynym pozytywnym, urzędowym owocem interpelacyi. Wobec amnestyi Izba nie chciała w myśl wniosku Jaurèsa i Brissona zarządzić śledztwa parlamentarnego; wywołałoby ono tylko zawieruchę, zrabowałoby czas, zużyło siły, nie przynosząc nic nad to, co dać może i powinno rzetelnie przeprowadzone śledztwo administracyjne. Wrażenie wywarte przez list Pellieux'go, chłosta dana przez Brissona Cavaignacowi zupełnie wystarczają republikanom do uważania się za zwycięzców w dwudniowej bitwie. Taktycznie Jaurès zbłądził, żądając niejako wzno-

wienia sprawy przez śledztwo parlamentarne; Brissona uniosła zapalczywość szlachetnego gniewu przeciw intrygantowi, fałszerzowi i kłamcy, jakim się okazał Cavaignac. Ciało poważnie obradujące nie potrzebowało posuwać się dalej, niż je pociągnąć chciał Chapuis w swej rezolucyi. Uchwała: „Izba wyraża votum zaufania do rządu i postanawia nie pozwalać na sprowadzenie sprawy Dreyfusa z drogi prawnej“ — czyni zadość potrzebie. Filozofowanie nad liczbami głosowania jest czczem wobec niewątpliwości i moralnego i pozytywnego zwycięztwa. Zaufanie wyraziły 282 głosy przeciw 217, zawarowanie drogi prawnej — 384 prz. 75; całość wreszcie rezolucyi przyjęto 255 gł. prz. 75. Śledztwo administracyjne nie jest ściąganiem sprawy z drogi prawnej, bo nie Dreyfus będzie mu poddany, ale sztab. Jeżeli rząd francuski już teraz się namyśla — widać, że się obawia nacyonalistów nietylko w Izbie, ale w sztabie i w armii. W każdym razie André albo ministrem nie będzie, albo śledztwo nakaże: uczucie honoru zamyka go w tym dylemacie.

Listy z Wiednia.

Początek kwietnia.

C. k. namiestnik Galicyi, pan hr. Leon Piniński, ów subtelny, muzykalny, uczony w prawie „europejczyk,“ który na stanowisku swem okazał się gorszym od „azyaty,“ hreczkosieja Badeniego, miał, według powszechnego przekonania, wkrótce otrzymać dymisyę i ustąpić miejsca hr. Andrzejowi Potockiemu, albo też Dawidowi Abrahamowiczowi... *ambo meliores!* Teraz jednak prawdopodobnie zostanie jeszcze dłużej na wysokim urzędzie. Dlaczego? Bo poseł Ignacy Daszyński winterpelacyi do prezesa ministrów ogłosił fakty, wysoce go kompromitujące. Więc oczywiście honor „narodowy“ (czytaj: klasowy) wymaga, żeby go Koło polskie wszelkiemi siłami broniło.

Istotnie, zaraz po interpelacyi „regimentarz,“ p. Jaworski, wystosował pełen oburzenia protest do prezesa Izby poselskiej, jak mógł pozwolić na zaprotokółowanie podobnej interpelacyi. Protest nie ma sensu, ponieważ prezes nie ma prawa obcinać interpelacyi, a zmiana regulaminu, planowana przez partye „podtrzymujące państwo,“ z gotowym zawsze do tych czynności p. Abrahamowiczem na czele, jeszcze nie jest i na szczęście nie będzie nigdy uchwalona. Jednocześnie brat namiestnika, poseł hr. Mieczysław Piniński, który dotąd nigdy w Izbie ust nie otworzył, odezwał się (w nieobecności p. Daszyńskiego) z gorącym protestem przeciw „plamieniu czci jego matki.“ Oczywiście, zawtórują mu wszystkie pisma „patryotyczne“ — lecz swoim zwyczajem nie podadzą treści interpelacyi. Dla oświecenia więc opinii publicznej, systematycznie zatruwanej, trzeba, żeby choć niezależny tygodnik zapoznał ją z faktyczną stroną sprawy.

W interpelacyi szło o spadek po niejakim Kazimierzu Tuczyńskim, zmarłym w roku zeszłym w Skorykach na Podolu galicyjskiem, człowieku dość awanturniczego usposobienia, który bywał raz zrujnowany, potem znów się zbogacał, a przed jakiemiś dwudziestu laty znany był jeszcze wśród „śmietanki“ galicyjskiej, jako sportsmen, i z długoletniego, prawie jawnego stosunku z pewną hrabiną.

Umierając, Tuczyński zapisał cały swój majątek, w kwocie 170,000 złr., na stypendya dla literatów polskich: było to spełnieniem przedśmiertnego życzenia jego ojca, lekarza, który mu pozostawił także dość znaczną sumę pod tym warunkiem. Służbie swej przeznaczył Tuczyński w testamencie legaty, siostrze nieżyjącej żony — sznur pereł wartości 6,000 złr., a p. Abgarowiczowi, swojemu przyjacielowi (znanemu w literaturze pod pseudonimem Abgara-Sołtana) — swoje pamiętniki i 5,000 złr. na ich wydanie.

Gdy Tuczyński umarł, sąd w Nowem Siole, odległy o godzinę drogi, a natychmiast o śmierci uwiadomiony, w trzy dni dopiero przysłał na miejsce urzędnika celem opieczętowania papierów i spadku. Tymczasem jednak zginął testament, rękopis pamiętnika, sznur pereł, oraz korespondencya, wypełniająca, wedle zeznań służby, dwa worki. Papiery w szufladach były rozrzucone w nieładzie. Kuratorem spadku został mianowany miejscowy proboszcz, grecko-katolicki ks. Krasnopera.

Do tego księdza zwrócił się listownie hr. Leon Piniński, namiestnik Galicyi, najwyższy urzędnik kraju, z żądaniem, by mu wydał ze spadku po Tuczyńskim listy i fotografie hr. Julii Pinińskiej, matki namiestnika. Wkrótce potem przybył do proboszcza starosta zbaraski, Telichowski, i zabrał wymienione fotografie i listy, prócz tego kazał odesłać do namiestnika cenny obraz oryginalny Artura Grottgera, przedstawiający Tatara na koniu, a należący także do spadku po Tuczyńskim. W tym samym czasie zjawił się u proboszcza komisarz policyi i w imieniu ministeryum wojny, któremu zmarły oddawał usługi, zabrał z masy spadkowej sporo listów.

Sprawcami kradzieży testamentu, papierów i pamiętnika mogły być osoby interesowane; dziwne jednak, że w rok po wypadku jeszcze nie wdrożono w tej sprawie śledztwa. Zniknięcie testamentu pociąga za sobą szkodę publiczną, gdyż kapitał, który Tuczyński zapisał na stypendya dla literatów polskich, może teraz dostać się spadkobiercom prywatnym, których zgłosiło się naraz 54, w ich liczbie żona hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, lub — ponieważ ich pretensye są kruche — poprostu skarbowi austryackiemu.

Na zakończenie interpelant pyta ministra, czy pociągnie do odpowiedzialności starostę Telichowskiego za naruszenie cudzej własności, czy każe wdrożyć śledztwo w sprawie zniknięcia testamentu — i wreszcie jakiem prawem namiestnik hr. Piniński kazał sobie wydać cenny obraz ze spadku po osobie zupełnie mu obcej?

Jak widać z powyższego, p. Daszyński oskarżył jedynie ludzi, pełniących urzędy publiczne, o naruszenie najelementarniejszych zasad prawa — co czyni ciągle, co jest jego obowiązkiem, jako przedstawiciela ludności, i co ma ten skutek, że biurokracya i szlagonerya galicyjska choć trochę miarkuje swe zapędy. Wystąpienie zaś hr. Mieczysława Pinińskiego było wysoce nietaktowne, gdyż autor interpelacyi nigdzie nie zarzucił nieżyjącej hr. Julii Pinińskiej postępków, plamiących jej cześć, i nazwisko jej wymienił raz tylko, gdy koniecznie trzeba było podać przyczynę bezprawnego postępku namiestnika. Pan Piniński więc sam oddał pamięci swej matki najgorszą przysługę, czyniąc z niej przedmiot licznych artykułów gazeciarskich, gdy w przeciwnym razie każdy zwracałby uwagę jedynie na postępki żyjącego namiestnika.

2)

Wacław Sieroszewski.

POWRÓT,

POWIEŚĆ.

Jakut popuścił lejce, pochylił się nad końmi i krzyknął dziko. Zwierzęta drgnęły, skuliły się, potem zachrapały, rozpuściły ogony i grzywy, szarpnęły, jak obłąkane i poniosły, jak wicher. Koła zafurkotały, jak loty jastrzębie, wóz zadrżał rozpaczliwie, a na podróżnych ten pęd odpowiadający ich uczuciom podziałał, jak wino. Oczy ich zabłysły, rysy zaostrzyły, na licach zapaliła się łuna; przyciśnięci do siebie, pochyleni, lecieli naprzód, jak dwugłowy gryf, tuląc do piersi śpiące spokojnie dziecię. Lecieliby tak nieustannie, aż do samego kraju!

Lecz pod górą woźnica konie zatrzymał, stanął, zszedł z kozła, wytarł rozhukanym zwierzętom nozdrza i boki sianem, dał im chwilkę wytchnąć, przegryźć po garści suchej trawy i ruszył ku szczytowi piechotą. Karski też z siedzenia zeskoczył i poszedł po drugiej stronie wozu.

Po stromym wjeździe dostali się na dziką, lesistą płaskowyżynę. Stąd droga wszywała się w samo serce ciemnej, niezamieszkanej tajgi. Tu i owdzie rozświetlały las obszerne błota, porosłe kępami i szuwarem. Czarne jeziora błyskały w cieniu zarośli. Ale ryba nie pluskała się w nich; nigdzie nie było widać ptaszka, ani zwierzęcia i żaden dźwięk nie naruszał ciszy. Tylko koła wozu stukotały po siatce żylastych korzeni, obnażonych na gliniastej drodze lub grały przykrego marsza na dylach grobel, ułożonych niedbale, w poprzek moczarów. Podróżni tańczyli wówczas na siedzeniach bolesny, przymusowy taniec, a znudzone konie wlokły się leniwo, wyszukując starannie wśród wybojów miejsc dogodnych do postawienia kopyta.

W południe dotarli do sadyby jakuckiej, jedynego przystanku w tej części drogi.

Karski niepokoił się i rwał naprzód, ale trzeba się było posilić i koniom dać wypocząć.

— Stąd droga dobra, pojedziemy! — pocieszał go Betinget.

Karski znał doskonale drogę i wiedział, że ta dobroć polegała na dodaniu lotnych piasków do poprzedniej kombinacyi stwardniałej gliny i cuchnących bagien.

Gdy stanęli wreszcie na urwistym zjeździe, wiodącym znowu do doliny rzeki, słońce już zniżało się ku zachodowi. Po nad czubami drzew, gwałtownie opadających na dół, otwierał się widok rozległy na pola, łąki, wsie i oddzielne sadyby z bladą wstęgą drogi, wijącej się wśród nich.

Karski chciwie zapuścił oczy daleko, daleko w stronę, gdzie nad srebrzystą smugą wody skrzyły się w promieniach zachodu nikłe iskierki miejskich wieżyc złoconych. Szukał dymu na przystani, ale zostało jeszcze prawie cztery mile do przebycia i dymy nikły we mgle odległości.

Zjechali ze spadzistości z szaloną szybkością przyzwyczajonych do takiej jazdy syberyjczyków. Konie znów rozgrzały się i rozszalały.

— Puść je, puść! Droga dobra!

— Daleko!.. — odrzekł niechętnie Betinget, który miał obiecanego jednego z koni.

Ale ponieważ obietnica była warunkową, więc chłopak z trwogą spoglądał na słońce i nawet popędzał chwilami zwierzęta.

Pod koniec mknęli pełnym, wyciągniętym kłusem. Karski lubił konie i znał się na nich. W czasie długiego w tym kraju pobytu dobrał był sobie słynną na całą okolicę parę. Teraz zwierzęta, jakby chcąc mu się odpłacić za pieczołowitość, grzmiały po ubitej drodze, jak lecąca burza, aż echo odbijało się w górach. Mijali szumiące kłosami niwy w opłotkach, mijali otwarte pastwiska, skąd stada już wracały do do-

miestnika. Lecz to właśnie byłoby niepożądane! Chciano odwrócić uwagę w inną stronę.

Z innej interpelacyi p. Daszyńskiego dowiedzieliśmy się ciekawego szczegółu, dotyczącego położenia naszej emigracyi w Stanach Zjednoczonych. Jak wiadomo, wychodźcy z Galicyi zachodniej nie zrywają stosunków z krajem, lecz przysyłają ciągle pieniądze pozostającym żonom, rodzicom, krewnym — na spłatę długów, podatków, prowadzenie i powiększanie gospodarstwa. Podług niektórych, chłopskie gospodarstwa w Galicyi nie mogłyby już wyżyć bez tych zasiłków z za morza. Tymczasem przesyłkę tych pieniędzy spotyka niespodziewane utrudnienie: w Stanach Zjednoczonych nie wydają przekazów pocztowych, wypłacanych w walucie austryackiej. Można na poczcie kupić za dolary przekaz na franki, ruble, liry, funty st. — na jaką się chce monetę, tylko kulturalna „Grossmacht“ Austrya— i Turcya obok niej druga — zaniedbały zawarcia odpowiedniej, nadzwyczaj prostej umowy pocztowej. Wskutek tego chłop z Galicyi musi kupować w Ameryce przekaz na franki, który potem wypłacają w koronach — więc traci na podwójnej wymianie, albo, co częściej się zdarza, przejęty chłopską nieufnością do takiej poczty, idzie do prywatnego bankiera, który go obdziera, a czasem poprostu okrada.

Zawiadomiony o tych faktach przez inż. Aleksandra Dębskiego, mieszkającego w Nowym Yorku, poseł krakowski zażądał od ministra skarbu — jak dotychczas, bezskutecznie — położenia końca tej anomalii.

P. Daszyński jest poprostu przeciążony prośbami o interpelacye. Zwracają się do niego ludzie najrozmaitsi, w jakikolwiek sposób pokrzywdzeni, a w szczególności — chłopi polscy, dziś z Ameryki, przed paru laty z Hawai, gdzie ich „własny“ austryacki konsul zamienił w niewolników na plantacyach, kiedyindziej — z Chorwacyi. Listy ich doprawdy wartoby było ogłosić, takie to obrazki obyczajowe. Siada taki chłop i wali tytuł: „Wielebny panie pośle, ojcze nasz i obrońco krajowy!“ I dopiero następuje opis niedoli. Często dodaje, że robi to za radą — księdza, tego samego, który może publicznie posła Daszyńskiego synem dyabła nazywa. Ale cóż? Przecie panowie z Koła nie są od tego, żeby się o różne krzywdy ludu upominać... Mają co innego do roboty.

Wogóle, interpelacye w parlamencie wiedeńskim — to ciekawe archiwum społeczno-obyczajowe. Co rok bywa ich z półtora tysiąca. Co prawda, przedmiotem większości są konfiskaty książek i pism przez prokuratorów. W ten sposób się jakiś odnośny artykuł, ustęp lub książkę „immunizuje“: może być później swobodnie przedrukowana, jako część sprawozdania z posiedzenia parlamentu, którego konfiskować nie wolno. Na te interpelacye oczywiście ministrowie nie odpowiadają, i wogóle, mało na które odpowiadają: nie są do tego obowiązani, jak w innych parlamentach. Bywają jednak interpelacye o szerszem, politycznem znaczeniu. Tak np. niedawno klub społeczno-demokratyczny poruszył sprawę austryackiego „Katolickiego stowarzyszenia szkolnego,“ dążącego do zamienienia szkoły dzisiejszej, dostępnej dla dzieci wszystkich wyznań, na czysto wyznaniową, tak aby katolicy od najmłodszych lat nie stykali się z protestantami i żydami. To stowarzyszenie odbyło zgromadzenie publiczne z powodu jubileuszu papieża i na wniosek wiceprezesa, posła Porgesa (nawróconego na „chrześciański socyalizm“ Żyda) uchwaliło adres do rządu austryackiego, aby ten pomagał papieżowi w odzyskaniu władzy świeckiej! Rzecz ta byłaby głupstwem, gdyby nie to, że oficyalnym protektorem Towarzystwa jest następca tronu, arcyks. Franciszek Ferdynand, niedawno jeszcze przez papieża najwyższym orderem Chrystusa odznaczony i publicznie „ulubieńcem“ nazwany! Jak potężny jest klerykalizm w Austryi, dowodzi fakt, że wszyscy ministrowie nadesłali listy z gorącemi przeprosinami, że na zgromadzenie przybyć nie mogą. Na tem samem zgromadzeniu hr. Sylva-Taronca, przywódca feodałów czeskich, miał odczyt o wychowaniu chrześciańskiem i za cel jego ogłosił: żeby dziecko było tak doskonale posłuszne rodzicom, jak pies myśliwemu. Dosłownie! Przedrukowane w oficyalnym organie stronnictwa *Das Vaterland*.

Zdaje się, że nareszcie zbliża się chwila reformy kodeksu wojskowego. Austrya ma w całej bez wyjątku Europie najbardziej barbarzyński kodeks wojskowy. Gdy wszędzie już sąd odbywa się publicznie, w obecności oskarżonego, który ma adwokata; gdy w Niemczech w liczbie sędziów zasiadają specyaliści-prawnicy ze specyalnego korpusu wojskowych urzędników sądowych; gdy w Szwajcaryi i Bawaryi, do roku 1889 w pierwszej, do 1900 w drugiej, istnieli przy sądach wojskowych przysięgli, jak za czasów Rewolucyi francuskiej — co niestety później zniesiono; gdy we Francyi projekt rządowy zmierza obecnie do oddania sądom cywilnym tych przestępstw ludzi wojskowych, które nie mają czysto wojskowego charakteru — w Austryi dotychczas ma moc pełną kodeks dla dzikich, niesfornych i tępych najemników z czasów Maryi Teresy, podług którego oskarżony przez cały czas widzi tylko t. zw. audytora, audytor ten jest sędzią śledczym, prokuratorem, referentem sprawy na sądzie, wypracowującym projekt wyroku i jednym z sędziów; oskarżony nie staje osobiście przed sądem i nie ma wcale obrońcy! To też od dawna wszystkie bez wyjątku stronnictwa, tak w Austryi, jak na Węgrzech (nie wyłączając nawet Koła polskiego!..) domagają się reformy tego kodeksu. Od lat dwudziestu kilku słychać te żądania w delegacyach; ponieważ jednak stronnictwa, „podtrzymujące państwo,“ nie mają nigdy odwagi zawarunkować uchwalenia budżetu wojskowego — przedstawieniem tej reformy, więc od tyluż lat co rok minister wojny daje „uroczyste słowo“ — *verbum nobile!* — że reforma jest na ukończeniu, tylko jeszcze kompetentne organy mają się porozumiewać co do drobnych punktów. A tych organów jest aż pięć: ministeryum wojny (wspólne), dwa ministerya obrony krajowej i dwa sprawiedliwości. Podobno nareszcie się porozumiały; ale co spłodziły? Pożal się Boże! Zgodzono się w zasadzie na jawność rozpraw—ale z wykluczeniem kobiet! Dlaczego? Czy sprawy wojskowe są zawsze takie nieprzyzwoite? Czy też obecność kobiet źleby działała na rycerskich sędziów? Czy siostra lub matka oskarżonego nie powinna mieć prawa obecności? Tajemnice stanu! Zresztą oczywiście, i tak obciętą jawność można będzie zawsze znieść „ze względów służbowych.“ Zgodzono się na adwokatów, ale dopiero przy takich sprawach, które pociągają za sobą nie mniej, niż 5 lat więzienia! Zatem na $4^1/_2$ lat można być skazanym bez sumiennego i absolutnego rozpatrzenia sprawy; to dla żołnierza drobnostka! Prócz tego, w sprawach, mających charakter wojskowy (złamanie dyscypliny, dezercya itp.) wolno być obrońcami tylko takim adwokatom, którzy sami są *oficerami* w rezerwie, obronie krajowej lub pospolitem ruszeniu. Czyli, że mają się na sądzie

---

mów, odrapane jurty jakuckie, gdzie zwykle z ujadamiem witały ich psy kudłate; przelatywali błyskawicą przez bogate, dobrze zabudowane wsie „skopców“ *), wywołując zdziwienie na obrzękłych, kobiecych twarzach spotykanych kastratów.

Niektórzy poznawali Karskiego, kłaniali się mu i wołali nań, ale nie miał czasu na rozmowy. Raz tylko zatrzymał konie i zapytał jadącego z miasta przekupnia, czy jest tam jeszcze parowiec.

— A no jest, ale miał iść!..

— Pędź, pędź, Batinget!.. choćby paść miały! — krzyknął Stefan.

— Padną, to zupełnie staniemy!.. — odrzekł flegmatycznie Jakut.

Karski skoczył na kozioł i odebrał Betingetowi lejce. Konie poczuły pana i czas jakiś biegły po dawnemu, ale siły ich widocznie topniały. Starszy, siwy — wierny towarzysz pierwszych, najcięższych dni Karskiego — bardzo osłabł. Stefan z bólem serca musiał go smagać. Szlachetne, niebite nigdy zwierzę, za każdym razem szarpało rozpaczliwie postronki, lecz nie mogło już zdążyć za młodszym towarzyszem; uprząż na nim wkrótce znowu wolniała. Drugi, wrony, z „rybiemi oczyma,“ brzydki i zły, ale niezmiernie wytrwały, biegł z tym samym rozmachem i energią, co i pierwszą wiorstę, kąsał jedynie przy lada sposobności swego towarzysza i chudł w oczach.

— Ten, siragiaś, padnie a biegu nie zwolni!.. — wołał z zachwytem Betinget.

Co pięć wiorst stawali, aby konie wytchnęły, i karmili je suchym jęczmieniem. Pomimo takich wysiłków dostali się do wioski dopiero o północy.

— Jest parostatek?— spytali pierwszego przechodnia?

— Jest! — oparł ten.

Karski odetchnął z głębi piersi, otarł znój z zakurzonej, poczerniałej twarzy i oddał lejce nie mniej odeń uradowanemu Betingetowi.

— Zawracaj na przystań!

Minęli biały, murowany klasztor i wyjechali nad rzekę. Potężna, szaro-srebrna wstęga wody, różowa od blasków różowej nocy, spokojnie płynęła w pociemniałych brzegach. Blado odbijały się w niej wiejskie budowle, stosy belek, białe obłoki i niebo pobladłe. U przystani, skleconej z desek, stały rzędy statków, umocowanych na grubych, napiętych i wciąż drżących linach, ale parostatku nigdzie nie było widać...

Karski nie chciał wierzyć swym oczom. Zeskoczył z wozu i pobiegł wzdłuż wybrzeża, aż tam gdzie ono skręcało za biały klasztor. Roztwarło się przed nim wodne roztocze jeszcze gładsze, jaśniejsze, szersze i bardziej puste. Jedynie gdzieś daleko, na skraju horyzontu majaczył nizko nad wodą mały, zwiewny obłoczek, czy dym...

— Stefanie, właśnie cię szukam! Czemuż się spóźniłeś?!.. Odszedł przed godziną! — wołał nań, zbliżający się od strony wioski, mężczyzna.

Stefan obrócił się ku niemu, ale nie zaraz mu odpowiedział. Stał, jak skamieniały. W oddali Betinget oprowadzał wolno po łące wycieńczone konie wraz z wozem, na którym siedziała Anna.

II.

Pani Matrona, otyła gospodyni tak zwanej „wspólnej kwatery wygnańców,“ oblała przybyłych potokami współczucia. Ona zwykle wszystkich swych gości oblewała potokami „współczucia,“ poczem zwolna przechodziła na własne „ciężkie położenie“ i kończyła tem, że zmuszała litować się nad sobą, a więc — traktować z wyrozumiałością brud, liche pożywienie, nieścisłe rachunki i inne usterki powierzonego sobie gospodarstwa. Na panią Annę napadła szczególniej za wychowanie Olesia:

— Co to jest, proszę pani? Czy to się godzi?.. Bóg pani dał takiego ślicznego chło

*) Skopcy jest to sekta wielkoruska, kastrująca z pobudek religijnych kobiety i mężczyzn do niej należących.

po oficersku sprawować: inaczej — rychło stracą patent oficerski!

I pomyśleć, że coś podobnego parlament— choć „z ciężkiem sercem"—uchwali, bo w przeciwnym razie na nowy projekt wypadłoby czekać— nowe lat dwadzieścia! *In deinem Lager ist Oesterreich!* Austrya jest zawsze jeszcze w obozie: jeśli nie Radecky'ego, to — Galgoczy'ego.

zz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Konsul mitrowicki Szczerbina wbrew prognozie lekarskiej zmarł d. 9 b. m. Wypadek ten obciąża sprawę napaści i zaostrza stosunek do Porty. Wyrok 15-letniego więzienia, wydany na podstawie tylko ciężkiego zranienia, teraz wobec śmierci, nie jest już zadawalniającym; sprawa ma być ponownie osądzoną i sprawca, Ibrahim, prawdopodobnie da głowę za głowę. Wrzenie w Bulgaryi rośnie ciągle. Prezes dawniejszy komitetów macedońskich, Michałowski, pozornie usuwając się, w istocie wszystkiem kieruje i potrzebował tylko wypuszczenia na swobodę, aby w mowie pożegnalnej wydać hasło nakazujące lekceważenie dyplomacyi i zachęcające do czynu. Nowych starć znaczniejszych obecnie nie było, ale są zamachy. Rosya wystosowała nową notę do Bulgaryi; za jej przykładem poszła Austrya; działanie obu poparły inne wielkie mocarstwa przedstawieniami w Sofii.

Oryginalnej roli pragnie dla siebie Anglia. Z odpowiedzi Balfoura w Izbie Gmin przed samemi świętami widać, że dąży do dodania sztabom tureckim asysty z oficerów swoich. Czy byliby oni tam tylko świadkami, poręczającymi rzeczywistość spodziewanych okrucieństw, czy też instruktorami Turków w wojnie? Zapewne łączyliby w sobie oba powołania. Umowa o Cypr w r. 1878 pozwala nawet zasadniczo na takie współdziałanie, ale państwa występujące czynnie chybaby nie pozwoliły. Najważniejsze obecnie jest to, czego się nie widzi, o czem telegraf milczy: układy dyplomatyczne. Na dnie ich leży rozbiór Turcyi, taki, któryby wszystkich zadowolił, a zatem z nikim wojny nie wywołał. Może on być rozłożonym na czas, byle tylko był stale umówionym na przestrzeń. Stosunek Francyi do Anglii, Niemiec do Rosyi w chwili obecnej najbardziej zaciekawia i kiedyś w historyi najbardziej będzie zajmującym.

Król Serbski robi zamach stanu, pomagając sobie wojskiem i terroryzmem: chce się pozbyć najpierw radykalnego stronnictwa, a potem radykalnych swobód konstytucyi z d. 6 kwietnia 1901 r. Idzie mu dotychczas gładko przy oddanym zupełnie prezesie gabinetu generale, Markowiczu i jego kolegach, z których jeden tylko Łozanicz, min. spw. zagr., współsprawcą być nie chciał. D. 7 b. m. w jednej proklamacyi król zawiesił konstytucyę, która tylko do „rozpasania" naród przywiodła, rozpędził senat, radę stanu i samą skupczynę, zniósł wolnomyślne ustawy gminną, wyborczą i prasową, w drugiej zaraz po zamianowaniu nowych senatorów i radców stanu do opracowania nowej konstytucyi, obowiązującą obecnie przywrócił. Z początku chciał król obdarzyć Serbię dawną konstytucyą z r. 1869, później postanowił uszczęśliwić ją wyrobem własnego przemysłu. Cała nędza tego zamachu okazuje się już teraz, okaże się lepiej a szybko w razie wojny.

Cesarz Wilhelm bawił w Kopenhadze do 5 b. m.; nazajutrz odpłynął „Hohenzellernem" do Kielu.

W Anglii zajmują się bardzo żywo koleją bagdadzką (anatolijską) przyznaną Niemcom, ale odzyskiwaną częściowo przez kapitały angielskie. Z rozpraw w Izbie Gmin widać, że Anglicy zatokę Perską chcą zamienić w angielską.

W Longwy władze francuskie wykryły szpiegów, dwoje Francuzów. Loubet w drodze do Algeru zjechał do Marsylii. W samym początku maja odwiedzi dobrze sobie znany Paryż król Edward VII. W kwietniu będzie i w Kwirynale i w Watykanie. Ułożono już ceremoniał, oszczędzający jako tako godność papieża, przy zasadniczem nieistnieniu stosunków między władzą świeckim Włoch a duchownym świata katolickiego.

Na Filipinach świeżo Amerykanie pobili powstańców.

Powstanie w rzeczypospolitej S. Domingo zamieniło się w wojnę domową, w której konsulowie europejscy występują jako pośrednicy.

Bu-Hamara zdobył fort Frajana we wschodnio-północnej części Marokka. Król Edward miał w przejeździe rozmowę z Abdur-Ramanem, gubernatorem Fezu, który z ust jego otrzymał zapewnienia dla sułtana pomyślne.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Sytuacya na Górnym Śląsku. — Odezwa Towarzystwa wyborczego. — Bankructwo *Katolika*. — Walka z klerem w Prusach Zachodnich. — Z obozu robotniczego — Towarzystwo pomocy naukowej im. Marcinkowskiego. — Towarzystwo przyjaciół nauk. — J. Haase.

Uwaga powszechna zwrócona jest obecnie, w okresie przedwyborczym, przedewszystkiem na Górny Śląsk i na Prusy Zachodnie, ponieważ tam właśnie mamy do czynienia z objawami dotychczas nieznanymi. Na Górnym Śląsku widzimy zjawisko nader pocieszające — mianowicie: stopniowy upadek wpływu *Katolika*. *Górnoślązak* z jednej strony, a *Gazeta Robotnicza* z drugiej podkopują wpływ p. Napieralskiego, który, zaprzedawszy się bezwzględnie obozowi centrowemu, otrzymuje od niego jeden policzek po drugim. Pisałem już o wycofaniu jedynego kandydata-Polaka, uzyskanego tytułem „ustępstwa" przez p. Napieralskiego, z okręgu katowicko-zabrskiego i przeniesieniu go do okręgu bytomsko-tarnogórskiego. Obecnie centrowcy poczynają uznawać, że i to ustępstwo jest całkiem zbyteczne. Na zebraniu w Tarnowskich Górach centrowcy miejscowi zaprotestowali przeciwko kandydaturze p. Królika i zażądali kandydatury niemieckiej. Gdyby nawet zarząd centrum nie uwzględnił tego żądania, to i tak nie zapobiegnie kompromitacyi *Katolika*.

Obóz *Górnoślązaka* wyzyskuje te kompromitacye bardzo umiejętnie. Takiem skorzystaniem z położenia jest świeża odezwa „Towarzystwa wyborczego na Śląsk Górny," zamieszczona w *Górnoślązaku* i zawierająca sporo ciekawych danych o położeniu ludności polskiej na Śląsku i jej usposobieniu.

Odezwa dzieli ludność Górnego Śląska pod względem uświadomienia narodowego na trzy wielkie grupy: 1) Niemców; 2) Polaków z wyrobionem poczuciem narodowem i 3) Polaków narodowo jeszcze nie-

---

paczka, a pani go marnuje... Trzeba go hartować, puścić na ulicę na słońce, na powietrze... Niech się przyzwyczaja!.. Niech sobie lata!.. A to wciąż w pokoju i w pokoju... w śmieciach, które sam robi!.. To na nic! To samo z pokarmem: najzdrowsze, co najprostsze! Niech mi pani wierzy!.. Nasze chłopskie dzieci, z przeproszeniem, wszystko jedzą, a czy to źle wyrastają?.. Mój mąż nieboszczyk, Bazyli, był, z przeproszeniem pani, jak dąb, a pamiętam jak opowiadał, że najlepiej mu smakowała rzodkiew z olejem.

W Stefana usiłowała pani Matrona wmówić, że nietylko nie stracił, spóźniwszy się na parostatek, ale nawet zyskał.

— Bo to, proszę pana, ja wiem dobrze, jak to na parostatku: ciągły turkot, hałas, ani to się wyspać, ani to zjeść... A głównie drożyzna. I nareszcie... może się zdarzyć rozbicie okrętu. Niech mi pan wierzy: niema to, jak z holownikami po staremu, wolno, poważnie, bezpiecznie... Chce pan, to pana na brzeg wysadzą: idzie pan sobie spacerem, jagody zbiera, szyszki cedrowe... A chce pan, to pan siedzi w łodzi i spokojnie, powolutku sobie jedzie. Utonąć niepodobna, bo płyną tuż przy brzegu, nieledwie po ziemi. Jeżeli pan chce, mój Andrzej wyszuka panu holowników, niech go pan tylko poprosi. Choć on czasu ma mało, ale to człowiek uczynny... Czego dla swych panów nie zrobi?! Prawda, Andrzeju?..

Z po za drzwi wychylała się zwykle naówczas konopiasta głowa Andrzeja z twarzą uśmiechniętą szeroko, aż po sine dziąsła.

— Mało zostało holowników. Już odjechali, ale... może się znajdzie. Trzeba poszukać. Pewnie, że się znajdzie! Za pieniądze i dyabli tańczą!

Stefan po całych dniach błąkał się posępny po mieście, zbierając wiadomości o parowcu, o holownikach, o poczcie... Nie wiedział, co robić. Każdy mu radził co innego, a wszystkie projekty rozbijały się o brak pieniędzy. Leo radził jechać pocztą.

— Najkosztowniejsza droga, ale najprędsza! W rezultacie zrobisz oszczędności... na jedzeniu, gdyż spędzisz w drodze nie miesiąc, lecz dwa tygodnie...

— Ależ zrozum, człowieku, że ja wprost nie mam na opłacenie nawet przejazdu... Nie mówię o strawnem. Zresztą nie spieszy mi się znów tak bardzo.

Leo gwizdał i chodził po pokoju z miną obrażonego.

— Pieniądze furda! Zawsze można... pożyczyć! — wyrzekł stanowczo, biorąc za czapkę. Uciekał, gdyż sam nie miał ani grosza i kredyt dawno wyczerpał. Ale że był chłopakiem dobrym, „uznanym ekonomistą," więc robił usilne poszukiwania „marnej mamony" lub nowych „kombinacyj" kredytu. Tymczasem pani Anna co wieczór błagała męża:

— Jedźmy, jedźmy gdziekolwiek... Brud, zaduch, kurz tego miasta przerażają mnie... Oleś blednie... W dodatku grasuje epidemia... Chwilami wierzyć przestaję, że ujrzę swoich. Wydaje mi się to dalekiem... dalekiem... niedościgłem marzeniem. Czas uchodzi, a co niesie najbliższa przyszłość... niewiadomo. W nocy, gdy coś stuknie lub brzęknie na ulicy, już spać nie mogę, myślę, że idą odebrać nam pozwolenie. Czy zaręczysz, że tak nie będzie? Czy nie było podobnych wypadków? Jedźmy, jedźmy byle jak, byle nie siedzieć na miejscu...

Stefan podzielał jej obawy, choć nie dawał tego po sobie poznać; nieraz jednak bladł, spostrzegłszy z daleka człowieka, idącego w kierunku „wspólnej kwatery" i chwytał się nieznacznie za pierś, gdzie miał schowany pasport. Zgodził się więc po paru dniach na projekt Matrony, obiecał rubla uczynnemu Andrzejowi i tegoż dnia pod wieczór udał się w jego towarzystwie na miejską przystań berlinek i łodzi.

(C. d. n.)

uświadomionych. Do Niemców zalicza naturalnie i Żydów. Statystyka wykazuje, że Niemcy na Górnym Śląsku stanowią 20% ludności, czyli piątą część całej ludności; protestanci i Żydzi stanowią mniej więcej dziesiątą część, tak że ich liczba przy wyborach na szali nie zaważy. Trudniej bez porównania oznaczyć choć w przybliżeniu liczbę Polaków z wyrobionem poczuciem narodowem, bo nie można się powoływać na statystykę lub inne akta urzędowe. W tej trudności tkwi jądro nieporozumień i zatargów pomiędzy obozem *Górnoślązaka* a *Katolikiem*. Ten ostatni przyznawał istnienie zaledwie jednej setki Polaków odrodzonych na Górnym Śląsku. Przeciwnicy jego natomiast twierdzili, że Polaków odrodzonych trzeba tam liczyć na tysiące, jeśli nie na dziesiątki tysięcy. Wytrącić przeciwnikowi broń, którą walczył, przekonać go było można, tylko policzywszy tych odrodzonych Polaków na Górnym Śląsku drogą wyborów do parlamentu pod hasłami narodowemi. W tym celu założono polskie Towarzystwo wyborcze na Śląsku.

Pod tym względem odezwa ma słuszność, ale tylko do pewnego stopnia. Nie wszystkich tych, którzy będą głosowali na kandydatów *Górnoślązaka*, można uważać za Polaków odrodzonych. Błędem też byłoby uważać tych tylko, którzyby głosowali na kandydatów narodowo-demokratycznych. Na pp. Korfantych, Styślickich itd. będą głosowali ludzie, żywiący antagonizm do Niemców i mogący się wyemancypować z pod przemożnego wpływu kleru. Rozbudzeni narodowo, lecz pozostający w pętach kleru, nie będą głosowali na kandydatów narodowo - demomokratycznych, dadzą głosy za tym, za kim im ksiądz każe. Z drugiej znów strony ludzie, rozbudzeni pod względem narodowym, a jednocześnie uświadomieni społecznie, nie będą już głosowali na kandydatów *Górnoślązaka*, ponieważ rozumieją dobrze, jak niewystarczającą jest czcza frazeologia narodowo-demokratyczna. Wobec tego dane statystyczne, na które liczy *Górnoślązak*, posiadają wartość bardzo problematyczną.

W dalszym ciągu odezwa mówi, że policzenie sił Polaków odrodzonych, aczkolwiek bardzo ważne, nie jest jednakże jedynem i wyłącznem zadaniem, jakie postawiło sobie polskie Towarzystwo wyborcze. Oprócz Niemców i odrodzonych Polaków niziny górnośląskie zamieszkują liczne rzesze, setki tysięcy ludzi pochodzenia polskiego, śpiące pod względem narodowym. Masy te w przeważnej części nie czytają wcale, albo, co gorsza, wynaradawiają się „blatami“ i „ancajgerami.“ Te setki tysięcy, to właściwy przedmiot walki, jaka się toczy między Niemcami a Polskiem Tow. wyborczem na Śląsku. Rozbudzenie tych mas, uświadomienie ich narodowe i zdobycie dla sprawy polskiej, to właściwy cel Towarzystwa. Co rok tysiące polskie giną w morzu niemieckiem, a jeszcze liczniejsze tysiące nasiąkają niemczyzną. Czas, największy czas, aby zastosować silniejsze nieco środki od tych, jakich używa trwożliwa dyplomacya *Katolika*, zanim rosa oczy wyje. Przy zakładaniu polskiego Tow. wyborczego na Śląsk, na które p. Napieralskiego zaproszono, zastrzegł sobie zarząd Towarzystwa prawo wybrania 11 członków do zarządu, a uczynił to w myśli ofiarowania tych miejsc stronnikom *Katolika* na przypadek przyłączenia się tych panów do Towarzystwa. Aby nie dopuścić do rozłamu ludu polskiego, Towarzystwo wyborcze poświęciło nawet część swego programu. Koło polskie, przystając na utworzenie Koła śląskiego, oświadczyło, że będzie popierało kandydatów, których postawi *Katolik* pod hasłem narodowem. Kierownik pisma odpowiedział rozpoczęciem układów z centrowcami, obiecując narodowi, że bez walki uzyska posłów Polaków z krwi i kości, ludowi miłych. Dziś znany jest światu wynik układów jego z centrum. Wobec tak lichego rezultatu swej dyplomacyi *Katolik* ogłasza poprostu bankructwo.

Wniosek to całkiem słuszny i godzą się nań nawet zwolennicy *Katolika* z obozu polskiego w Poznańskiem.

W Prusach Zachodnich ciekawem zjawiskiem jest burzenie się ludu przeciw wszechwładzy kleru, który i tu, tak jak wszędzie, zajmuje stanowisko wrogie najskromniejszym dążnościom emancypacyjnym ludu. Do bardzo niedawna masy ludowe, przeciwko którym księża z reguły nadużywają ambony i konfesyonału, szły wiernie za swymi przywódcami w sutanach, ale dziś stosunek ten zmienia się widocznie. Jak już pisałem, kler zachodniopruski prowadzi zawziętą agitacyę przeciwko kandydaturze p. Kulerskiego, redaktorowi *Gazety Grudziądzkiej*. Ostatnio napadł na niego w szeregu artykułów *Pielgrzyma* niejaki ks. Kujot, który uchodzi za wybitnego uczonego (w Prusach Zachodnich); wydrukował on w *Pielgrzymie* ohydny paszkwil, wyciągając w obrzydliwy sposób różne fakty wątpliwej wartości z życia prywatnego p. Kulerskiego. Ten paszkwil rozpowszechniono energicznie wśród wyborców.

Wobec napaści ks. Kujota *Gazeta Grudziądzka* wzięła w obronę swego wydawcę. W trzech osobnych dodatkach, które się rozeszły w Prusach Zachodnich w mnóstwie egzemplarzy, zamieściła kilkadziesiąt bardzo charakterystycznych listów z kół ludowych. W tych listach rozbrzmiewają głośne skargi tak na ks. Kujota, jak i na innych księży, że z ambon, w kościołach i po za kościołem gwałtownie zwalczają p. Kulerskiego i jego gazetę i wciskają ludowi swego *Pielgrzyma*. Z listów tych widać, że szerokie już koła ludowe mają dość wszechwładzy kleru w dziedzinie polityki i pragną zerwać krępujące je pęta.

Ten nastrój kół ludowych wyraźnie objawił się na wiecu wyborczym w Chełmży, który został zwołany w celu zatwierdzenia kandydatury na wiejski powiat toruński. W okręgu tym wysunięto już kandydaturę p. Brejskiego, wydawcy *Gaz. Toruńskiej*, w dwóch innych punktach powiatu. Chcąc zapobiedz temu, na wiec w Chełmży przybyło dużo księży i szlachty, ale wysiłki ich nie odniosły żadnego skutku. Przewodniczący, p. Szczaniecki z Nawry, zaproponował na kandydatów na pierwszem miejscu ks. proboszcza Odrowskiego, na drugiem dopiero p. Brejskiego. Wywołało to jednak wśród wyborców taką burzę, że ks. Odrowski sam musiał zrzec się kandydatury wśród okrzyków wyborców: „Nie chcemy księdza! Do kościoła z księdzem!“ Na pierwszem więc miejscu jednomyślnie postawiono p. Brejskiego.

Kiedy na drugie miejsce przewodniczący zaproponował ks. dziekana Fryntkowskiego, ponowiły się protesty i wołania: „Księża niech pilnują kościoła! Żądamy p. Kulerskiego!“ Napróżno przewodniczący usiłował przywrócić spokój, zgromadzenie nie przestawało protestować, dopóki ks. Fryntkowski nie zrzekł się kandydatury. Po tem, co się działo, komitet wyborczy miał obowiązek wezwać wyborców, aby sobie wybrali drugiego kandydata. Widocznie z obawy, że wybiorą p. Kulerskiego, komitet pominął tę sprawę i przystąpił do uzupełnienia swego składu. Powstało znowu zamieszanie, bo wyborcy dopominali się, aby na drugiem miejscu postawić p. Kulerskiego. Gdy komitet temu się opierał i zamieszanie wzrastało, policya wiec rozwiązała.

Gaz. Grudziądzka pisze, że lud na wiecu w Chełmży, odrzucając kandydatury dwóch księży naraz, dał „piorunującą odpowiedź na wściekłą hecę, jaką się teraz przeciwko p. Kulerskiemu uprawia.“

W prasie poznańskiej i warszawskiej pojawiła się wiadomość, że pomiędzy niemiecką a polską partyą społeczno-demokratyczną doszło do ostatecznej ugody. Informacya ta polega na plotkach. Faktycznie rokowania ugodowe zostały zerwane wskutek pewnych żądań partyi niemieckiej, uznanych przez organizacyę polską za niewykonalne. Wobec tego organizacya polska odzyskuje swą zupełną samodzielność, co nie przesądza zresztą akcyi wspólnej obydwóch organizacyj w poszczególnych okręgach wyborczych. Tak kandydatury robotnicze w Poznańskiem zostały uchwalone zgodnie na wspólnej konferencyi, przyczem przedstawiciele odrębnej organizacyi polskiej otrzymali pięć kandydatur. Rzecz możliwa, że i na Śląsku, pomimo oporu socyal-hakatysty, dr. Wintera, dojdzie do pewnego porozumienia w sprawach kandydatur lokalnych, jak się to już stało w jednym z okręgów — katowicko-zabrskim, gdzie i Polacy i Niemcy zgodzili się na kandydaturę p. Morawskiego, redaktora *Gazety Robotniczej*.

Jedną z najważniejszych instytucyj samopomocy społecznej w Księstwie jest bezwątpienia Towarzystwo pomocy naukowej imienia Karola Marcinkowskiego, które świeżo odbyło swe doroczne walne zgromadzenie. Rok ubiegły przyniósł Towarzystwu 33,426 marek składek zwyczajnych — o 4,000 marek więcej niż o rok wcześniej. Ustawiczny wzrost funduszów Towarzystwa w ostatnich czasach tłomaczy się tem głównie, że działalnością jego zainteresowały się warstwy ludowe społeczeństwa. Sprawozdanie stwierdza, że są powiatowy, w których liczba włościan-gospodarzy, a nawet robotników, liczy się na setki, z których włościanie sami zbierają składki i nowych pozyskują członków. Jednakże pomimo stałego wzrostu dochodów, pozwalającego Towarzystwu w dość rozległej mierze przychodzić w pomoc młodzieży pragnącej się uczyć, nie jest ono w możności zadowolić wszystkich wymagać. W roku ubiegłym dziewięćdziesięciu ubiegających się o stypendyum musiało odejść z kwitkiem. Kosztem Towarzystwa kształciło się w roku ubiegłym 472 młodzieńców, mianowicie: na wydziale filozoficznym 15, na wydziale prawniczym 28, na wydziale lekarskim 22, w akademii sztuk pięknych 3, na dentystycznym 5, na weterynaryi 5, na chemii 4, na farmacyi 7, na agronomii i leśnictwie 5, na górnictwie 3, miernictwie 2, w akademiach technicznych 49, w szkołach budowniczych 27, w akademiach handlowych 8, w szkołach handlowych 4, na nauce wyższego rzemiosła 6, w gimnazyach i szkołach realnych 240, w seminaryach 19, w szkołach średnich 30 — razem 472. Na stypendya Towarz. wydaje przeszło 80,000 marek rocznie, a bilans kasowy przedstawia poważną sumę 1,004,699 marek.

Poznańskie dawno już nosi miano „Beocyi polskiej“ — miano mało zaszczytne, choć zupełnie zasłużone. Ani na polu literatury, ani w dziedzinie nauki polskiej istnienie Poznańskiego nie zaznacza się niczem prawie, a ci synowie ziemi wielkopolskiej, którzy dokładają cegiełki własne do budowy wspólnego gmachu kultury ogólno - narodowej, czynią to nie u siebie w domu, ale w Galicyi. Kasprowicz, Przybyszewski, Małecki, Kętczyński, Kalina itd., jakkolwiek pochodzą z polskich prowincyi Prus, to jednak pracują i mieszkają gdzieindziej. Dla poetów, przekraczających tradycyjne szranki, istnienie wśród ciemnego, zacofanego społeczeństwa poznańskiego jest nie do wytrzymania. Dla pracowników nauki brak tam tego wszystkiego, co ich działalność umożliwia. Brak wszechnicy, ogniskującej siły naukowe kraju; polskich nauczycieli gimnazyów systematycznie zastępują niemieccy; wreszcie ciężka walka o byt, pochłaniająca wszystkie inteligentne

siły polskie — wszystko to mało usposabia do pracy naukowej, nie niedającej pod względem materyalnym!

Cóż więc dziwnego, że w takich warunkach jedyne ognisko naukowe poznańskiego — Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, zaledwie wegetuje. Towarzystwo posiada trzy wydziały: historyczno-literacki, lekarski i przyrodniczo - techniczny. Ale tylko te dwa ostatnie rozwijają się jako tako. Wydział przyrodniczo-techniczny cieszył się współudziałem licznego grona współpracowników i słuchaczy, na posiedzeniach jego bywało po kilkudziesięciu słuchaczy, liczba członków stale się zwiększa. Wydział lekarski wydaje cenione w kołach fachowych „Nowiny lekarskie“ i skupia poważną liczbę pracowników. Natomiast o wydziale historyczno-literackim samo sprawozdanie Zarządu Towarz. mówi w ten sposób: „Mimo najlepszej woli i serdecznego odwałania się do szerszego koła społeczeństwo naszego, nie było w tym wydziale zwykłego ruchu, jakim dawniej odznaczał się ten poważny dział naukowy, zabrakło mu bowiem siły żywotnej i tego duchowego poparcia, które powinno być zawsze i wszędzie świadectwem ożywionej idei. Niestety musimy to wyznać z troską i żalem serdecznym, że społeczeństwo miejscowe z obojętnością zupełną i niczem nieusprawiedliwioną apatyą tamuje wydziałowi temu drogę rozwoju...“

Więzienie bytomskie opuścił p. J. Haase, jeden z redaktorów Katowickiej *Gazety* — po 15-miesięcznym w niem pobycie.

Pośrednik.

O inspekcyi fabrycznej

W NIEMCZECH.

W Sztutgarcie, w domu związków zawodowych, zaproszony przez związków tych ogólną federacyę, p. G. Hardegg, królewsko-wirtemberski inspektor fabryczny, miał niedawno ciekawy odczyt o obowiązkach i czynnościach inspekcyi, z którego warto zanotować kilka zdrowych i pięknych myśli.

Przedewszystkiem mówił p. Hardegg o organizacyi inspekcyi. Szczegółów, dotyczących Niemiec wogóle, ani Wirtembergii w szczególności, powtarzać tu nie będziemy. Przytoczymy to tylko, co mówi on o mianowaniu asystentki-kobiety. Rzecz szczególna, że na razie pożyteczność tej inowacyi bardzo się nie uwydatniła: wbrew oczekiwaniom, robotnice nie miały do inspektorki więcej zaufania, niż do inspektorów-mężczyzn. Hardegg jednak w tem właśnie widzi smutny objaw przytępienia wstydu kobiecego pod wpływem stosunków fabrycznych, i wnioskuje, że dlatego właśnie inspektorka-kobieta tem bardziej była potrzebna. Wątpić nie można, że ostatecznie zdobędzie ona sobie zaufanie robotnic w większym stopniu, niżby to mógł zrobić mężczyzna, a jednocześnie będzie miała na nie wpływ wychowawczy. Nietylko funkcya stwarza organ, ale i organ — funkcyę, potrzebę.

Wogóle za warunek pożytecznej działalności inspektora uważa H., prócz gruntownej znajomości stosunków społecznych i techniki przemysłowej, zupełną bezstronność i sprawiedliwość, ową „wewnętrzną niezależność, która sprawia, że urzędnik nie daje się kierować wpływom ani z lewicy, ani z prawicy i nie zważa na osoby, które ma kontrolować.“

Zadania inspekcyi dzielą się na trzy główne części: ochrona robotnika pod względem duchowo-etycznym, obrona przed niebezpieczeństwami grożącemi zdrowiu i życiu, wreszcie ochrona ekonomiczna. Podział ten jest oczywiście czysto abstrakcyjny; w gruncie rzeczy wszystko to jest ściśle ze sobą powiązane. „Gdy np. pilnuję tego, aby robotnik korzystał z zapewnionego mu prawem odpoczynku niedzielnego“— a to samo można powiedzieć o przestrzeganiu prawem określonego *maximum* godzin pracy w ciągu doby — „to nietylko umożliwiam mu kształcenie swego umysłu, pielęgnowanie uczuć i wypełnianie obowiązków rodzinnych, religijnych, względnie społecznych, co przyczynia się do zrozumienia przez niego spraw technicznych, społecznych i ekonomicznych, ale przyczyniam się również do wzmocnienia zdrowia, świeżości, odporności na choroby, a to znów pozwala robotnikowi lepiej strzedz się niebezpieczeństw, któremi grozi mu maszyna.“

W rozdziale o opiece nad robotnikiem z punktu widzenia etyczno-duchowego mówi inspektor wirtemberski na pierwszem miejscu o odpoczynku niedzielnym i uważa za niezbędne dla skontrolowania go — wypytywanie osobiste poszczególnych robotników. Skarży się jednak przytem na robotników, zbliżonych jeszcze do poziomu umysłowego wieśniaków; tacy pracują np. w młynach i browarach, i tacy przez tradycyjną bierność nie chcą się wyrzec przyzwyczajenia do pracowania nawet w niedzielę, nie czują zaufania do inspektora i informują go niechętnie.—Inspektor ma prawo pozwalać na wyjątki od zakazu pracy w niedziele i święta; ale Hardegg radzi zgadzać się na te wyjątki rzeczywiście tylko wyjątkowo, i to po uprzedniem zbadaniu, czy fabrykant nie mógł zapobiedz rzekomej konieczności pracowania w święta za pomocą odpowiedniej organizacyi pracy, lub czy nie dlatego chce pracować w święta, żeby wynagrodzić sobie produkcyą na eksport — ograniczenie produkcyi dla rynku miejscowego przez kartel! Trzeba zwracać żywą uwagę na postępy techniczne; dziś już nawet dla hut szklanych istnieją urządzenia, czyniące pracę świąteczną w znacznej części zbyteczną; trzeba je doradzać fabrykantom. Robotnicy też przez własną dobrą wolę i staranność mogą przyczynić się do skrócenia robót około czyszczenia maszyn, do zachowywania krótszego czasu roboczego — np. w piekarniach. Jeszcze ostrożniejszym musi być inspektor przy udzielaniu pozwoleń na nadprogramową, a już szczególniej na nocną pracę kobiet i dzieci. Powinien pamiętać, jakie straszne następstwa dla rodziny robotniczej ma nietylko nieobecność kobiety w nocy, ale i zbyt długa i męcząca praca dziewcząt, która podkopuje ich zdrowie i nie daje im należycie się przygotować do zawodu gospodyni i matki. Wspomina wreszcie o konieczności pilnowania, aby kobiety nie pracowały razem z mężczyznami w gorących suszarniach itp,, o tem, jak zbawienny wpływ umoralniający mogą wywierać sami starsi robotnicy na młodszych kolegów — i na tem kończy. O żadnej innej jeszcze opiece nad robotnikami pod względem duchowo-etycznym lub ochronie ich przed niebezpieczeństwami tego rodzaju— pan Hardegg nic nie wie.

Za to wiele ważnych rzeczy powiedział on o ochronie robotnika przed niebezpieczeństwami, grożącemi jego zdrowiu i życiu ze strony fabryki. Rola inspektora zaczyna się pod tym względem nie przy rewizyi dopiero, lecz już przy wydawaniu opinii o planie budowy nowej, względnie—przebudowy starej fabryki. Już wtedy trzeba tak doradzić fabrykantowi, takie mu wskazać wzory do naśladowania, żeby niebezpieczeństwa były jak najmniejsze, zdrowotność jak największa. Jest to coraz łatwiej, gdyż fabrykanci lepiej już rozumieją potrzebę takiego urządzenia we własnym interesie. Wytwórczość robotnika, pracującego w ciężkiem lub kurzu pełnem powietrzu, w źle oświetlonym budynku, z rosnącym z godziny na godzinę wstrętem, jest znacznie mniejsza, niż człowieka zdrowego i świeżego, który całą uwagę może skupić na swej pracy. To też wielkie fabryki coraz bardziej odpowiadają wymaganiom hygieny i bezpieczeństwa. Później, przy rewizyach, trzeba uważać nietylko, czy plan został wiernie wykonany, ale też—czy nie zaszły w nim zmiany później, czy np. magazynów lub szatni nie zamieniono na warsztaty, czy nie zastawiono wejść itp.

Co do zapobiegania nieszczęśliwym wypadkom, tej zmorze robotnika i całej jego rodziny, to p. Hardegg mówi, że najważniejszą rzeczą jest: właściwa kwalifikacya robotników, należyte obchodzenie się z nimi i dobra organizacya pracy. Techniczne urządzenia ochronne są oczywiście niezbędne, ale „mogą one być jak najdoskonalsze, można wydać mnóstwo przepisów—wszystko to na nic się nie przyda, jeśli powyższe warunki nie są wypełnione. Inspektor musi przedewszystkiem uważać, czy na odpowiedzialnych stanowiskach znajdują się odpowiedni i sumienni robotnicy: np. kotlarze i pilnujący maszyn! Karygodna głupota, obojętność lub lekkomyślność może odebrać najlepszym urządzeniom technicznym wszelką wartość, jeśli się robi oszczędności na ludziach i na takich stanowiskach stawia się ludzi, nierozumiejących rzeczy, albo przeciąża ich robotami pobocznemi, dodatkowemi, nocnemi, świątecznemi! Na co się przyda zakaz czyszczenia maszyn podczas roboty, jeśli inspektor nie dopilnuje, żeby robotnikom w ciągu umówionego lub prawnego dnia roboczego pozostawiono należyty czas na czyszczenie maszyn?“ Przytem konieczne jest zapoznawanie robotników z grożącemi im niebezpieczeństwami. Świadomość ma tu wielkie znaczenie, ale nie wystarcza do tego jakieś wywieszone ogłoszenie; trzeba, żeby fabrykant albo majster, zamiast krzyczeć o byle co, każdemu nowowstępującemu jasno i życzliwie wyłożył stan rzeczy. W braku ich — powinni to, zdaniem p. Hardegga, zrobić starsi koledzy. Obecnie tak rzeczy stoją, że robotnik zwykle uważa techniczne urządzenia ochronne za przeszkodę, za utrudnienie i opóźnienie w pracy, i nie zważa na nie. Inspektor III okręgu wirtemberskiego radzi robotnikom, aby na zebraniach związków zawodowych urządzali odczyty na ten ważny temat: niebezpieczeństw przy pracy i wystrzegania się ich, a następnie wzywa ich, aby śladem tylu już robotników-wynalazców korzystali ze swego praktycznego doświadczenia i wytężali umysł na wynajdywanie udoskonaleń w urządzeniach technicznych dla dobra swoich współtowarzyszów. Chociaż, dodaje, praca w fabryce dziś, niestety, niewiele pozostawia czasu na wynalazki!

Do działu ochrony ekonomicznej robotników zalicza H.: kwestyę mieszkaniową, ograniczenie pracy kobiet i dzieci, kwestyę uczniów, t. zw. „trucksystem,“ czyli wszelkie ograniczanie swobody robotnika w rozporządzaniu swym zarobkiem, za pomocą np. pośredniego czy bezpośredniego zmuszania go do przyjmowania części zapłaty w naturze, w kwitkach, do kupowania w sklepach fabrycznych itd. Z nielicznymi wyjątkami — mianowicie kiedy miejsce pracy jest zbyt oddalone od miasta, gdzie można robić zakupy — system ten należy zwalczać bezwzględnie, gdyż nietylko materyalnie szkodzi on robotnikowi, ale „oddaje go w poniżającą zależność od fabrykanta.“ Ważny punkt jeszcze—to wewnętrzne regulaminy fabryczne! Do inspekcyi należy zatwierdzanie ich, przyczem powinna ona zawsze pamiętać, że te regulaminy mają wielkie znaczenie dla robotników, więc należy pytać ich o zdanie, i że „robotnik wobec przedsiebiorcy jest zawsze stroną słabszą.“

Kończy prelegent znowu kwestyą, dotyczącą organizacyi inspekcyi. „Wobec wielkiej złożoności nowoczesnego życia gospodarczego, wobec mnóstwa krzyżujących się w niem nici, inspektor nie byłby w stanie pełnić swego zadania bez pewnego współdziałania samych robotników. Czyż podczas rewizyi możemy wszystko widzieć i odczuć? poznać wszystkie życzenia i skargi?" Pan Hardegg wypowiada się też w kwestyi spornej, czy inspektor powinien rewidować fabrykę w towarzystwie fabrykanta lub zarządzającego, i odpowiada na to — przecząco; ale i tak, nawet gdy zwierzchników przy tem niema, każdy pojedynczy robotnik z obawą oczekuje i słucha zapytań inspektora, odpowiada nieufnie, bojaźliwie — bo i ściany mają uszy, a wszakże idzie o miejsce, o chleb! Więc p. Hardegg wysoko podnosi istniejącą w Wirtembergii instytucyę mężów zaufania inspekcyi; są to ludzie ze sfery robotniczej, ale niekoniecznie robotnicy, pracujący w danej chwili w fabrykach; ludzie, mający byt zapewniony, niezależni, przeważnie urzędnicy związków zawodowych. Za ich to pośrednictwem poufnem i pewnem dochodzą inspektorów zażalenia i życzenia interesowanych. „Z początku obawiano się — mówi p. Hardegg — że instytucya ta pociągnie za sobą rozwój denuncyacyi na wielką skalę i pogorszenie stosunków między robotnikami i fabrykantami; ale rzeczywistość zadała kłam tym obawom. Robotnicy stopniowo przekonali się, że są zrozumiani i że ich skargi uzasadnione znajdują posłuch; to natchnęło ich zaufaniem do inspekcyi i *wpłynęło na ich uspokojenie.*"

Powyższe poglądy są tem ciekawsze i godniejsze uwagi, że p. Hardegg kładzie wielki nacisk na konieczność zupełnej bezstronności względem obydwóch stron interesowanych i utrzymywania dobrych stosunków z fabrykantami również—w celu wpajania im zrozumienia prawa i obowiązków społecznych.

Słuchacze, ze strony których już zaproszenie inspektora było dowodem zaufania, z wielkiem uznaniem przyjęli jego wywody.

Erka.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK

A cóż będzie z ankietą?

Fabryka Rohn, Zieliński i Sp. pomieściła w *Gazecie Polskiej* sprostowanie, że ów niemiecki list i niemiecki katalog wysłano do Mińska tylko — wskutek omyłki. Sprostowanie to rozczuliło *Gazetę Polską*, rozgrzeszyła tedy fabrykę i bierze ją nawet gorąco w obronę, nazywając nasze wystąpienie „odwetem w złym stylu." Wobec tego zmuszeni jesteśmy pomówić nieco o „dobrym stylu" *Gazety Polskiej*. Powtarzamy: p. Franciszek Zieliński, współwłaściciel owej fabryki, ojciec szefa wydziału handlowego, zaznaczył swego czasu patryotyczną do nas pretensyę. Wartość słów mierzy się czynami, przeto odesłaliśmy gorącego patryotę do *Gazety Polskiej* i jej notatki o niemieckim liście i niemieckim katalogu. Współwłaściciel odpowiada za fabrykę, ojciec za wychowanie syna, skoro ośmiela się próbować wychowywać innych. Sprostowanie fabryki nas bynajmniej nie rozczuliło. Człowiek obdarzony logiką zapytałby: dla kogo fabryka drukuje niemieckie listy i niemieckie katalogi, skoro wyroby swoje sprzedaje w Mińsku? A jakim sposobem rozgrzesza ją teraz *Gazeta Polska*? Cóż będzie z ową rozgłośną przeciwniemiecką ankietą? Wszak jeszcze dość niedawno czytaliśmy w *Gazecie Polskiej*, że Niemców *berlińskich* należy „przyzwyczajać" do korespondencyi w języku polskim. Teraz już obowiązuje inna logika? Teraz wolno Niemców *mińskich* „przyzwyczajać" do korespondencyi niemieckiej? Czy wolno to każdemu, czy też tylko fabryce Rohn, Zieliński i Sp.? Tak, tak! Nacyonalizm posiada logikę okolicznościową a zarazem typową... zuchwałość. Nacyonalizm feruje wyroki, stawia drogowskazy, urządza szumne ankiety, chwali, potępia, dopóki nie okaże się potrzeba uczynienia dla kogoś wyjątku. Wtedy w imię łaskawie udzielonego przywileju bierze się tego kogoś w obronę z taką samą furyą, z jaką się potępiało tych, którym się przywileju nie udzieliło.

Decyzya pana hrabiego.

Biblioteka Warszawska drukuje traktat Zygmunta Krasińskiego „O Trójcy w Bogu i Trójcy w człowieku." Każde słowo wielkiego poety, dobyte z rękopisów, witamy z radością, choć tym razem z odcieniem zdumienia, że zmuszeni jesteśmy powitać je tak późno. Na zawadzie stała decyzya pana hrabiego, Adama Krasińskiego, jako właściciela rękopisu. Dzieła poetów należą do całego narodu. Ponieważ tedy nad narodową własnością roztoczyć opiekę miał prawo pan hrabia, przeto musimy się bliżej przypatrzyć jego decyzyi. Pan hrabia pisał o tym traktacie w krakowskiej *Krytyce* (kwiecień, 1902): „Wiadomo, że Zygmunt Krasiński napisał Traktat o Trójcy w Bogu, Człowieku i Narodzie — dzieło wysokiego nastroju i myśli potężnej. Napisał — i nie ogłosił drukiem. A nie ogłosił, gdyż tworząc i z własną jeno myślą obcując, czuł moc jedynie przemawiania do swej myśli — ale stworzywszy — zastanowił się, czy mu wolno (?) jest rzeknąć: „dobre jest!" Zygmunt Krasiński uznał (!), że mu nie wolno i że dzieło będzie źle pojęte — a nie woła go konieczność, *że czas nie jest jeszcze na nie* i że zachwieje wiarę wielu a nielicznych jeno zbuduje. Zygmunt Krasiński dzieła o Trójcy nie ogłosił." Słowa powyższe były wymierzone przeciwko tym, którzy ośmielają się bez zasięgnięcia rady u pana hrabiego publikować różne rzeczy, mogące „gorszyć maluczkich"; jako wzór zaś wstrzemięźliwości został podany Z. Krasiński. W okrągły rok (*Biblioteka Warszawska*, kwiecień 1903) pan hrabia wygłosił takie zdanie w przedmowie do Traktatu Krasińskiego „po raz pierwszy w całości wydrukowanego" przez niego: „Rękopis... przejrzeli na życzenie, wyrażone za życia przez Zygmunta Krasińskiego, OO. Kajsiewicz i Semenenko, i osobnem pismem, datowanem z Rzymu, dnia 7 maja 1860, wydali sąd swój o „Trójcy w Bogu itd."; pismo to ukaże się niebawem w wydaniu zbiorowem Dzieł Zygmunta Krasińskiego. — Z różnych powodów oświadczyli się OO. Kajsiewicz i Semenenko przeciw ogłaszaniu „Traktatu" drukiem (!). Względy i ostrożności ich byłyby całkiem słuszne, gdybyśmy ogłaszali „Traktat" jako absolutną i niewzruszoną wiarę Autora (???). Tak jednak nie jest (!!!). Mamy w „Traktacie" nie ostateczną krystalizacyę zasad i wiary Poety, ale tylko etap ważny i ciekawy w rozwoju jego myśli filozoficznej, jedno stanowisko w szeregu innych (!?!), które Zygmunt Krasiński w sumieniu swem przewalczył. Po latach zaś przeszło pięćdziesięciu *mówić o tem stanowisku nietylko wolno, ale należy.*" Charakterystyczna logika. Czego niewolno było Zygmuntowi Krasinskiemu, Kajsiewiczowi i Semenence, to wolno panu hrabiemu. Ba! czego niewolno było panu hrabiemu w kwietniu 1902 r., to wolno mu już w kwietniu 1903 r. Zadecydował: „czas jest!" Ale ze względu na obecnie żyjących różnych OO. Zmartwychwstańców trzeba było, aby mały potomek wielkiego przodka rzekł o nim do „maluczkich, mogących się zgorszyć": nie wierzcie zbytnio wielkiemu poecie, ja sam mu nie wierzę, zresztą jest to tylko „jedno z jego stanowisk..."

Na szczęście powiedział pan hrabia w marcu 1902 r. (*Krytyka*): „Ale, by sądzić— trzeba rozumnie sądzić." I napisał także: „nie szargać świętości!" Niechby wreszcie napisał, byle *nie decydował* w sprawie rękopisów, których nie wartość materyalna, ale treść, nie stanowi wyłącznej własności żadnej ordynacyi.

Krok naprzód.

Handel nasz chroma od dłuższego czasu z wielorakich przyczyn, śród których nieostatnie miejsce zajmuje przestarzałe i nieodpowiednie prawodawstwo handlowe, opierające się na kodeksie Napoleona, oraz na zwyczajach i zasadach, które się z tego kodeksu rozwinęły. Nie mogliśmy korzystać z jednej strony z ulepszeń i udoskonaleń kodeksu, czynionych we Francyi, z drugiej — z reform, przeprowadzonych w Cesarstwie, które nie mogło przyjąć naszych przedstawień, z rosyjskiem prawodawstwem niezgodnych. Ostatecznie znalazła się droga do porozumienia, obecnie bowiem pracuje osobna komisya, mająca na celu reformę prawodawstwa handlowego, a ponieważ powołano wszystkie komitety giełdowe, przeto i Warszawa posiada w niej swego przedstawiciela. Jakkolwiek warszawski komitet giełdowy został niespodzianie zaskoczony tem wezwaniem, to jednak na zasadzie wielokrotnych usiłowań wprowadzenia zmian na lepsze był do tego stopnia przygotowany, że mógł swemu przedstawicielowi w Petersburgu udzielić dokładnych i wyczerpujących instrukcyj, które pozwoliły mu wziąć udział w obradach podkomisyi, mającej za zadanie wypracowanie życzeń. Niepodobna tutaj wchodzić w szczegóły tego projektu, lecz możemy powiedzieć z zadowoleniem, że najważniejsze żądania warszawskiego komitetu giełdowego spotkały się z przychylnem przyjęciem podkomisyi, całość projektu odznacza się liberalnością, a wskutek tego należy spodziewać się nowego, bardzo dla handlu pomyślnego ustawodawstwa handlowego.

Doniosła reforma.

Manifest Najwyższy, ogłoszony d. 26 lutego r. b., zaczyna przynosić owoce: w myśl bowiem tego manifestu ogłoszony został Ukaz Najwyższy, znoszący w 46 guberniach Rosyi europejskiej solidarną odpowiedzialność włościan w wypłacie podatków rządowych ziemskich i gminnych. Jest to wielki krok naprzód w rozwoju stosunków wiejskich w Cesarstwie, do tej pory bowiem obowiązywało prawo solidarnej odpowiedzialności włościan wypłacalnych za niewypłacalnych. Nietrudno sobie wyobrazić, że prawo to musiało wpływać bardzo ujemnie na rozwój ich pracowitości, przedsiebiorczości i oszczędności. Obecne stosunki będą sprzyjały rozwojowi tych cnót, tak niezbędnych dla pomyślności społeczeństwa. Od czasu uwłaszczenia chłopów jest to niewątpliwie pierwszy wypadek epokowy w historyi włościaństwa w Rosyi.

Uzdrowienie Pragi.

Jak największa czystość i urządzenia zdrowotne we wszystkich gęściej zamieszkałych siedzibach ludzkich są dziś obowiązkiem społecznym, uznawanym nietylko w teoryi, lecz i w czynie przez wszystkich ludzi uczciwie myślących. Warszawa ma dobre wodociągi i kanalizacyę, które wy-

trzymują porównanie z podobnemi urządzeniami w świecie cywilizowanym. Ten wielki krok naprzód, jaki nasze miasto w kulturze uczyniło, wkłada na nie wielki obowiązek rozszerzania tej kultury w całym kraju i czynnego pomagania do jej rozwoju nawet tam, gdzie to jest połączone z pewnemi ofiarami pieniężnemi. Mamy na myśli projektowane i postanowione już zkanalizowanie Pragi, która do tej pory posiada tylko wodociągi razem z Warszawą i tylko z tego jednego dobrodziejstwa kultury korzysta. Wskutek rozległości i małego jej zabudowania należy przypuszczać, iż z początku sama ona kosztów kanalizacyi opłacać nie będzie w możności, a przeto część ciężarów spadnie na Warszawę. Ze względów kulturalnych wydatku tego jednak żałować nie należy. Tembardziej, że jest możność wyzyskania go w sposób korzystny dla miasta, gdyby nieczystości, które wylotem kanału głównego wyrzucone zostają daleko poza miastem, do Wisły, przy kanalizacyi Pragi, zamiast ginąc bezpowrotnie i zatruwać wodą, odprowadzone zostały na pola irygacyjne, i mogły być zużytkowane przez ogrodników i rolników okolicznych. Odpowiednie w tym względzie urządzenie ocaliłoby miliony, które dziś poprostu wyrzucamy do wody. Takie urządzenie nie przyniosłoby Pradze żadnej szkody, a wyrzeczenie się go byłoby nowem marnotrawstwem, którego składamy ciągle dowody: niedawno postanowiliśmy palić śmieci miejskie, które odpowiednio przerobione także znakomitego dostarczają nawozu.

BADANIA NAUKOWE.

Morze i pustynia.

(Dokończenie).

Gdy Cuvier badał osady kotliny Paryskiej i tam między warstwami morskiemi, pełnemi morskich muszli znalazł gips, margiel, piaskowiec, pozbawione śladu istot morskich, a natomiast wypełnione kośćmi zwierząt lądowych, wytworzyło się w jego umyśle pojęcie o wielkich geologicznych katastrofach, w których po wielekroć ląd i morze mieniały się swemi miejscami. Cuvieroska teorya katastrof znalazła tem większe rozpowszechnienie, że i gdzieindziej znaleziono podobne paleontologiczne kontrasty pośród warstw skorupy ziemskiej; przytem bardzo rozpowszechnione konglomeraty i osady grubo okruchowe skłaniały do przypuszczania nagłych wylewów, olbrzymich potopowych kataklizmów, niszczących wszelkie życie. I stało się modą naśladować Cuviera, objaśniać mnóstwo zjawisk zapomocą nagłych katastrof. W roku 1828 Brogniart wynalazł „potop kamienny“ dla wyjaśnienia moren dyluwialnych; następnie rozszerzono ten pogląd, przypuszczając tego rodzaju potop od Skandynawii aż do Saksonii, obliczono nawet że przy gwałtownem podniesieniu się Alp głazy eratyczne zostały przeniesione z szybkością 175 stóp na sekundę, albowiem wiele z nich nie utraciło swych rogów i kantów. Przeciw tym katastrofom, służącym na poparcie biblii, Karol Lyell wypowiedział myśl powolnego rozwoju i wykazał, jak przy pomocy długich okresów czasu bez żadnych katastrof siły natury są w stanie sprowadzić wielkie rezultaty, zarówno niszczące, jak i budownicze. Siły dziś jeszcze działające wystarczają zupełnie dla wyjaśnienia zagadek przeszłości i obserwacye zjawisk spółczesnych stały się podstawą do wyjaśniania zjawisk przeszłości.

Co Karol Hoff usiłował uczynić na podstawie niedostatecznych jeszcze obserwacyj, tego dokonał Lyell i oni to obaj stali się twórcami wymienionej metody ontologicznej. Spłokująca działalność wody słodkiej, budownicza działalność wulkanów i dna morskiego, niszczące i osadzające działanie lądu oraz wiatru itd. są dziś doskonale znane, a na ich podstawie możemy wyjaśnić przeszłość.

Podczas gdy dawni geologowie jednym gwałtownym rzutem podnosili Alpy, rozłupywali głębokie doliny, ciskali olbrzymimi głazami na równiny, kazali podskakiwać lądom w górę i na dół, jak gdyby ziemia była kulą z gumelastyki, to poglądy geologów dzisiejszych mają charakter łagodny, możnaby prawie powiedzieć — nużący. Powoli i bez przerwy kropla wydrąża kamień, powoli doliny zagłębiają się w skorupę ziemską, powoli układają się warstwami skały na dnie morskim, powoli z popiołu spadającego usypuje się stożek wulkanu i powoli ulega spłókaniu. Nieustannie krok za krokiem fale morskie zestrychowują ląd i zaledwie dostrzegalne zmiany w świecie organicznym sumują się przez tysiącolecia w nowe gatunki i rodzaje. Całe dzieje ziemi wydają się niby długie, nieskończenie długie marzenie senne i okresy geologiczne wydłużając się przechodzą po za możność naszego wyobrażenia.

Jakkolwiek mówi Walther — przekonany jestem o długości okresów geologicznych; jakkolwiek wierzę w powolnie i ciągle działające siły, to jednak sądzę, że z dawnej nauki i o nagłych katastrofach popadliśmy obecnie w drugą ostateczność i że wieczny pokój w dziejach ziemi jest tylko pięknem marzeniem. Rozpatrując jakikolwiek wielki przekrój skorupy ziemskiej, dostrzegamy wiele litologicznych i paleontologicznych kontrastów, które zaprzeczają powolnej stałości działania. Po skałach morskiego pochodzenia z licznemi skamieniałościami morskiemi następują bezpośrednio potężne pokłady gipsu i soli bez śladu zwierząt wodnych, a zato ze szczątkami drzew i kości zwierząt lądowych; następnie na skałach wulkanicznych, w których naturalnie napróżnoby szukać skamieniałości, spostrzegamy osad grubego konglomeratu i piaskowca na setki metrów gruby z wyraźnem uwarstwieniem; na jego powierzchni widać ślady fal, zagłębienia od kropli deszczu i stóp zwierzęcych, ale bez wszelkich skamieniałości. Nie wiemy gdzie otoczaki konglomeratu wzięły swój początek, transport przez lodowce jest wykluczony i wydaje się dla nas rzeczą zupełnie niezrozumiałą, jak takie skały mogły się utworzyć.

Osady te stają się coraz cieńsze i kończą się klinowato, zachodząc pomiędzy warstwy morskie.

Te obserwacye nasuwają myśl o lokalnych katastrofach, które w pewnych miejscach przerywają spokojny bieg dziejów ziemi i wdzierają się gwałtownie w losy świata organicznego, przynosząc ze sobą bądź pierwiastek twórczy, bądź wyrok zniszczenia.

Ale gdzież spotkać możemy procesy współczesne o takim kataklizmowym charakterze? Gdzie tworzą się potężne konglomeraty bez skamieniałości? Gdzie morze jest w stanie zalać nagle wielkie przestrzenie? Gdzie może powstać osad na 500 m. grupy, któryby w każdym przekroju okazywał charakter brzegowy? Gdzie wskutek procesu naturalnego świat zwierzęcy wielkiego zbiornika wodnego lub olbrzymiej powierzchni kraju może uledz nagłemu zniszczeniu? Odpowiedź brzmi: w bezodpływowej krainie pustyń. Tym sposobem kwestya pustyni staje się kwestyą dziejów ziemi o wielkiem zasadniczem znaczeniu.

Badanie klimatu pustynnego i wogóle zjawisk pustyniowych staje się konieczną pracą przedwstępną dla badań historyczno-geologicznych. Badanie pustyń poucza nas mianowicie, że powolny bieg rozwoju ziemi bywał przerywany przez gwałtowne katastrofy, które, nie będąc wprawdzie nigdy zaobserwowane w dżdżystych klimatach pasa umiarkowanego, są jednak charakterystyczne dla pustyń.

Gdy obszar bezodpływowy wskutek zmian poziomu czy to lądu, czy morza, dostanie się pod jego powierzchnię, to długie peryody czasu mogą upłynąć, zanim fale strychujące ląd (abrazya) dostaną się do depresyi (obszarów niżej poziomu morza leżących); gdy jednak już raz morze zrobi wyłom w dziale wodnym, zamykającym depresyę, to w jednym jedynym dniu może się rozlać na obszarze setek mil kwadratowych i cały świat zwierzęcy lądowy zostanie odrazu zniszczony.

Gdy zaś znowu w krainie pustynnej zdarzy się jedno z tych rzadkich oberwań się chmury, jedna z tych ulew potopowych, natenczas zwalają się olbrzymie masy rumowiska, piasku i mułu na wyschłe łożyska *uadi*, pokrywając je na wiele mil wzdłuż. Znaczne przestrzenie stają się tu peryodycznemi jeziorami, a każdy kawałek tego chwilowego dna jeziornego był w pewnej chwili wybrzeżem. Następnie palące słońce pustyni wysusza płytkie jezioro, kurczy się ono stopniowo i teraz znowu każdy kawałek jego dna staje się chwilowo wybrzeżem.

Teraz piaszczyste diuny zaczynają swą wędrówkę po wyschłej równinie, a po latach powtarza się potopowa katastrofa, tak iż tutaj utwory brzegowe mogą narosnąć do takiej grubości, jakiej nie dosięgają na wybrzeżu morskiem. Nie potrzebujemy przypuszczać żadnych wahań i przekrocze ń morskich (transgresyi), bo w obrębie obszaru bezodpływowego, odciętego od oceanu, spotykamy skały okruchowe i chemiczne, odróżniające się od utworów morskich tylko brakiem skamieniałości i olbrzymią grubością.

Tylko ten, kto, jak Walther, zwiedził wszystkie prawie pustynie ziemi, może zdać sobie jasno sprawę z niezmiernie swoistych, oryginalnych zjawisk pustyni; pustynia, mówi on, to kraina geograficznych paradoksów: deszcz, który nie moczy, źródła nietworzące strumieni, rzeki bez końców, jeziora bez odpływu, suche doliny, suche delty, suche jeziora, zagłębienia pod poziomem morza niezalane wodą, doliny rozgałęzione i poplątane, niby labirynt, prowadzące to nadół, to pod górę, olbrzymie kotlinowate zagłębienia, nieposiadające żadnego wyjścia, rośliny bez liści, ryby z płucami i tym podobne dziwaczne zjawiska stają tu przed oczyma podróżnika.

Wacław Nałkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

Knut Hamsun

W OSTATNICH SWOICH PRACACH.

W północnej Norwegii znajduje się kraina, Nordlandem zwana, pełna przedziwnych wybryków natury: to rozkoszna, jak istny raj ziemski, w zimie nawet, w piękne, pogodne dni łagodnym klimatem przypominająca Rivierę, to znowu straszna , ciężka do zniesienia w jesienne, burzliwe dni, gdy wśród mroków

gęstych, nieprzebitych wicher świszcze, huczy i wyje, niby jęki i zgrzytania potępieńców.

Piękny opis tej części ziemi dał Jonasz Lie w pierwszej swej powieści p. t. *Den Fremsynte* (Jasnowidz). „Nordland — pisze on — posiada naturę pełną niezwykłych, wspaniałych kontrastów, obok bezmiernych, szaro-skalistych, pustych przestrzeni, przypominających czasy przedhistoryczne przed osiedleniem się ludów i niezmierne bogactwa przyrody. Słońce i przepych letni trwają nietylko godzin dwanaście, lecz dzień i noc, nieprzerwanym ciągiem przez trzy miesiące, a wtedy w niektórych okolicach nie można wyjść bez maski na twarzy z powodu niezliczonej ilości komarów; natomiast jako przeciwstawienie przez dziewięć miesięcy panuje noc ziejąca grozą i ciemnością. Wszystko tam przybiera olbrzymie rozmiary; niema drobnych przejść między ostatecznościami — słowem są to stosunki jedyne dla fantazyi, baśni, trafu ślepego, nieodpowiednie zaś wcale dla chłodnego rozsądku i równomiernej, spokojnej pracy.“

Tu spędził Knut Hamsun najmłodsze lata, w których budzi się świadomość i wrażenia świata zewnętrznego najsilniej oddziaływają. I pod wpływem tej bogatej przyrody rozwinęła się w nim fantazya tak bujna, że aż unosząca go na bezdroża.

W przedostatnim swoim utworze p. t. *Wiktorya* mówi autor o bohaterze poecie: „Rzucił oczyma na papiery i odczytał je. Tak; znowu uniosła go fantazya. Nic nie ma do czynienia ze śmiercią i przejeżdżającym wozem. Pisał przecież o ogrodzie, rozkosznym, wspaniałym ogrodzie pałacowym w rodzinnem swem miejscu.“

Bohater zaczął opisywać go pod wrażeniem miłosnego wyznania, które mu uczyniła Wiktorya, obraz więc był pełen słońca, świeżości i woni wiosnianej. Gdy wrócił do pracy, zwarzone było wszystko kwiecie jego raju, ścięte mrozem pod wpływem drugiego spotkania, w którem kazano mu wyrzec się wszelkiej nadziei — to też wyobraźnia nasuwała poecie same przykre wizye.

Ta fantazya autora charakteryzuje przeważną część utworów Hamsuna ze szkodą dla ich artystycznej doskonałości. W powyższym przykładzie można jeszcze odnaleźć pobudkę psychiczną, która wpłynęła na zmianę obrazu bez woli autora, najczęściej jednak dzieje się to, jak gdyby przypadkowo. Naturalnie, że przyczyna jakaś istnieć musi, ale czytelnikowi niejednokrotnie niepodobna jej odnaleźć a zapewne i sam twórca niezawsze potrafiłby umotywować każdą wizyę, którą nasunęła mu fantazya.

Najlepszym przykładem tej właściwości talentu Hamsuna jest powieść *Wiktorya*. Określił ją autor jako historyę miłości, bo rzeczywiście żadnego z dotychczasowych utworów jego nie wypełniało tak całkowicie to uczucie. Miłość jest przedmiotem powieści zarówno, jak podstawą twórczości bohatera Jaoa, który jest poetą.

— Czem jest miłość? pisze Hunken Vendt w poemacie Jana zatytułowanym „Labirynt miłości.“ — Wiatrem, który szemrze w krzakach róż, nie, żółtym barwikiem we krwi. Miłość jest piekielną muzyką, pod której wpływem drżą serca starców. Ona jest astrem, otwierającym się szeroko za nadejściem nocy i zawilcem, który zamyka się pod ludzkim oddechem, a ginie za dotknięciem.

— Ona może zniszczyć człowieka, podnieść go i znowu napiętnować; dziś kocha mnie, jutro ciebie a tej samej nocy jego — tak jest niestałą. Ale umie też być silną, jak pieczęć niedająca się naruszyć i płonąć umie niegasnącym ogniem do chwili skonu — tak wierną bywa niekiedy.

— Miłość była pierwszem słowem Boga, pierwszą myślą, która przemknęła przez mózg Jego. Kiedy wyrzekł: Stań się światło! stała się miłość.... I miłość stała się źródłem świata i panią jego, ale wszystkie jej drogi pełne są kwiecia i krwi.

Taka właśnie miłość krwawa, a jak śmierć nieubłagana jest przedmiotem najświeższej pracy Hamsuna p. t. *Munken Vendt* (imię i nazwisko bohatera), która wyszła zeszłego roku.

Od ukazania się *Wiktoryi* w r. 1898 milczał Hamsun i pracował w największej ciszy, odcięty od świata, bądź na odludnem przedmieściu Kopenhagi, zwanem Utterslev, bądź w samejże Chrystyanii, gdzie się umiał tak dobrze skryć, że pobyt jego pozostał tajemnicą do ostatniej chwili, tj. do pojawienia się ostatniego dzieła. Każdy nowy utwór tego autora to niespodzianka zarówno dla wielbicieli jego talentu, jak dla nieprzyjaciół. Żaden też z pisarzów norwezkich nie jest tak poczytny, nakłady jego dzieł wyczerpują się szybko, rozchwytywane z gorączkową ciekawością, bo Hamsun, wierny swojej zasadzie niepowtarzania się, w każdym utworze przynosi co innego.

Tym razem niespodzianka była większa, niż kiedykolwiek: po raz pierwszy wystąpił Hamsun z rzeczą wierszowaną w ośmiu częściach, podzielonych znowu na ustępy (niby akty i sceny) z muzyką i śpiewami. Autor, w twórczości literackiej nieznający żadnych prawideł i przepisów, dzieła swojego nie nazwał dramatem, ani poematem dramatycznym, słowem, nie określił wcale jego rodzaju, pozwolił dowolnie przylepić mu etykietę, jaka się komu spodoba.

Poetom i artystom znane są owe gorączkowe stany duszy, gdy myśl jakaś lub obraz uczepi się mózgu, dręczy go i torturuje dopóty, dopóki nie znajdzie ucieleśnienia w dziele sztuki. Taką myślą, świdrującą mózg Hamsuna, było północne podanie o księżniczce Izelinie, która, wzgardziwszy miłością dzielnych, potężnych rycerzy, serce swoje oddała ubogiemu księdzu. To niebogate w treść podanie rozwinął poeta wspaniale w ostatniej pracy p. t. *Munken Vendt*, bogatymi, pełnymi życia epizodami. Kimże jest ten bohater o dziwacznie brzmiącem imieniu Munken (po polsku znaczy ten wyraz mnich)? W hierarchii społecznej nie ma on wcale miejsca wyznaczonego — ot, człowiek. Ale człowiek, który chce żyć według upodobań własnych, bez względu na prawa i wymogi towarzyskie, jak chciał żyć Glahn w powieści p. t. *Pan*. Że ten ostatni jest porucznikiem, nie wpływa zgoła na jego rolę w świecie, ani na własne jego poglądy. Tłomaczyćby mogło jedynie umiejętność obchodzenia się z bronią, ale trafia się to i innym.

Munken Vendt, dziecko natury, wrażliwy jest niezmiernie na objawy życia w przyrodzie, z którą zlał się jako nierozdzielna część całości. Wśród natury i wśród ludzi, zbliżonych do niej, czuje się w swoim żywiole. Dla innych szczelnie zamknięta księga przyrody, dla niego żadnych nie ma tajemnic, stąd ta jasność i potęga jego wzroku, którym rzucił nieprzeparty urok na gorącą, namiętną księżnę Izelinę. Potężna władczyni gardzi zalotami możnego pana, Ditrycha, a pożąda tylko serca Vendta, który, niestety, oddał je już niepodzielnie jednej ze służebnych księcia-rywala, pięknej Blis.

Ale i bohater nie zaznaje wzajemności. Blis nietylko nie przyjmuje jego pokornych hołdów, lecz fałszywem zeznaniem ściąga na niego karę więzienia. Uwolniony przez Izelinę puszcza się w świat na tułaczkę.

Wraca po latach wielu. Zastaje Izelinę z nieugaszonym ogniem pożądania w piersi. Ale on pozostaje niewzruszonym. Wtedy ognista pani karze go okrutnie za wzgardę i chłód, któremi odpłaca jej gorącemu uczuciu: rozkazuje przywiązać go drzewa i ślubuje trzymać tak dopóty, dopóki z ziemi, którą wcisnęła mu w dłonie, nie wyrośnie trawa. Wreszcie uwolniony, wyniszczony przeżytą męką i wiekiem umiera Munken Vendt na gościńcu, którym podążał znów w świat, na dalszą włóczęgę.

Nie mogąc przeżyć jego straty, rzuca się Izelina w morze.

Pominąwszy czysto romantyczny pomysł owego puszczenia się trawy w rękach męczennika, niesmak budzi niepohamowana namiętność w tak późnym wieku.

Już w Wiktoryi znajduje się podobnie ckliwy, niesmaczny obraz. A mianowicie wśród opisu rozmaitych rodzajów miłości przedstawia też Hamsun miłość pary małżeńskiej, która po latach nietylko nie straciła na sile, ale i nie zmieniła swych objawów. Kiedy mąż, ojciec rodziny zaniemógł ciężko i po długiej chorobie przeraził się własnym widokiem: zbrzydł, wyłysiał; wtedy z boleścią zwrócił się do żony, mówiąc: Teraz mnie już zapewne nie kochasz.

„A ona zapłoniła się i, obejmując go za szyję, całowała tak gorąco, jak w wiośnie życia“ poczem weszła do swojej komnaty i obcięła sobie tuż przy skórze włosy, aby stać się podobną do swojego ukochanego męża.

I znowu minęły długie lata. Wtedy żona straciła władzę w nogach a twarz jej ze zmartwienia pożółkła i zmarszczyła się. Pewnego razu odezwała się chora do męża: Teraz chciałabym już umrzeć. Jestem kaleką, brzydką, twoja twarz zaś taka piękna, nie możesz mnie całować, nie możesz mnie kochać jak dawniej....

A mąż wszedł do swojego pokoju i oblał sobie twarz kwasem, aby się oszpecić i być podobnym do żony. — Jakie to śmieszne i wstrętne niemal.

Prawda, że utwory Hamsuna działają właśnie najsilniej tą bezpośredniością swoją; zda się nam, czytając, że jesteśmy naocznymi świadkami pracy tego niepospolitego mózgu, który snuje przed nami obrazy i wizye fantastyczne, tłoczące się bez kryteryum twórcy, czasem bez związku i ładu, tak jak się rodziły — a jednak! Mimowoli nasuwa się nam porównanie z pokrewnym Hamsunowi ze względu na niezmierne bogactwo fantazyi, Jonaszem Lie. Jego smak artystyczny panuje nad rozwichrzoną wyobraźnią i określa jej wybryki. Talent Hamsuna rozwija się ciągle, może więc jeszcze osiągnąć miarę i harmonię, jakiej wymagamy od prawdziwego dzieła sztuki.

Nie ulega wątpliwości, że najwyżej dotąd stanął poeta w najświeższym swym utworze. Nie w treści, ani w głównej fabule leży jej wysoka wartość, lecz w pięknych epizodach i wzniosłych, głębokich myślach.

Poraz pierwszy odezwało się tu w Hamsunie poczucie solidarności z ludźmi. Dotąd był on tylko sobą, co najwyżej cząstką przyrody. W Munken Vendcie po raz pierwszy przemawia jako człowiek, który przez własne cierpienia doszedł do pojęcia nędzy i cierpień ludzkości całej. Nie jest to wcale stawanie po stronie biednych, uciśnionych świata tego przeciw możnym — bynajmniej, walką klas autor nie zajmuje się zgoła — to bunt całej ludzkości przeciw Temu, który źle rządzi światem. Bohater nie jęczy, nie żali się płaczliwym głosem, lecz pociąga do odpowiedzialności Boga, który stworzył całą tę nędzę. Wzywa ludzi, aby naznaczyli dzień w roku, w którym wszystkie narody zespoliłyby swoje głosy i wytoczyły skargę Panu świata, że pozwala im grzeszyć, a nie chroni ich przed złymi czynami. W przystępie ogromnego współczucia jednoczy się Munken Vendt z ludźmi przeciw bezlitosnej potędze i ciska jej w twarz słowa zuchwałe: Jeśli zamkniesz uszy na nasz głos, dowiedziesz, że dzieło Twoje jest lepsze, niż Ty, któryś je stworzył.

I w „Głodzie,“ jednej z pierwszych prac Hamsuna, wyrywają się bohaterowi ostre słowa buntu: — Powiadam ci, ty święty Baalu niebieski — niema cię, lecz gdybyś istniał, przekląłbym cię tak, że niebo twoje zadrżałoby od piekielnego ognia..... Od tąd zaprzeczę wszystkim twoim czynom i całej twojej istocie, przeklnę myśl moją, gdy się zwróci ku tobie, wyrwę wargi, jeśli raz jeszcze wymówią Twoje imię. — Chociaż głęboko wzruszające, te słowa, w związku z całością utworu, sprawiają wrażenie bezsilnego gniewu dziecka rozżalonego o coś chwilowo na matkę; w ostatnim utworze przemawia już człowiek dojrzały, mający świadomość tego, co mówi. Powtóre on wytacza skargę nie w imię osobistych cierpień, lecz wziąwszy na siebie ból całego stworzenia, domaga się sprawiedliwości, a taki głos posiada większą moc, niż najenergiczniejszy bunt jednostki.

Najnowszy utwór dowiódł, że najodpowiedniejszą formą, w której najlepiej występują wszystkie zalety wielkiego talentu Hamsuna jest mowa wiązana. Nigdzie wprost paradoksalne u niego kojarzenie sprzecznych pojęć nie wywołało potężniejszych efektów, nigdzie nie uwydatnił się do tego stopnia jego bogaty, piękny, obrazowy język, nigdzie ruchliwość fantazyi poety nie znalazła właściwszego pola, niż w tym poemacie.

Józefa Klemensiewiczowa.

ZE SZTUKI.

Goya w Salonie Krywulta.

„Sądźmy czyny a nie ludzi.“ Rzadko bardzo ta dewiza bywa stosowaną w krytyce dzieł sztuki. Pierwszą, niemal odruchową czynnością krytyka jest przekonanie się, kto obraz malował, jakby to mogło wpłynąć na powiększenie lub zmniejszenie wartości artystycznej samego dzieła. Cóż dziwnego, że potem usiłuje nieudaną pracę sławnego artysty przechwalić, a niezłą rzecz nieznanego traktuje z lekceważeniem lub obłudną pobłażliwością?

Obecnie mamy w Salonie Krywulta pareset akwafort Goyi. Większość krytyków, pisząc o nich, rozpoczęła od przypomnienia sobie i pouczenia innych, kim był Goya, że urodził się w Hiszpanii w r. 1740 a umarł w 1828, że wśród życia burzliwego doczekał się przyjaźni królewskiej, tytułów, głuchoty itd.

Lepszą nierównie od powyższej informacyę co do Franciszka Goyi daje kilka fotografij z jego obrazów olejnych, jakie widzimy obok długiego szeregu akwafort.

Te kilka kopij fotograficznych upewniają nas, że Goya posiadał dużą doskonałość techniczną swej sztuki. Uchwycenie charakteru należy do lepszych przymiotów artysty. Portret malarza Bayena, królowej Maryi Ludwiki, dwóch Infantów i wreszcie naga postać leżąca, powtórzona w ubraniu na innym obrazie, są pracami posiadającemi w sobie taką współczesność, że możnaby je brać za obrazy niemal dziś namalowane. To jest najlepszym dowodem, że kto pojmuje Sztukę z całą szczerością w myślach i usiłowaniach, tego dzieła przetrwają różne mody całych wieków, bo Sztuka jest jedna i wieczna. Z górą dwieście akwafort Goyi tworzą kilka cyklów, noszących następujące tytuły: „Walki byków,“ „Sny,“ „Fantazye“ i „Okropności wojny.“

Zastanówmy się nad niemi tak, jakbyśmy nie wiedzieli, kto jest ich autorem i co umiał stworzyć po za tem.

Przedewrzystkiem widoczną jest chęć artysty wyrażenia w ten sposób jakiejś myśli filozoficznej i opinii osobistej w różnych kwestyach społecznych. Myśli tej nadaje on najczęściej formę satyryczną. Akwaforta nie jest tu celem, lecz tylko środkiem do powiedzenia czegoś i to środkiem użytym bardzo pospiesznie i bez wielkiego poszanowania dla sztuki. Są to jakby szkice na marginesie kajetu, i z punktu widzenia Sztuki nie mogą być uważane za co innego, jak za projekty szkiców, mających być w doskonalszej formie później wykonanymi. Charakterystyka postaci jest bardzo dosadna, czasem kapitalna, lecz w przeważnej liczbie wypadków pamięciowość i pośpiech w rysunku narzuca im jakby niezdarność dyletanta.

Studyując wyraźnie te prace, zaczyna się cenić usiłowania autora, widzi się jego niezmiernie bogatą fantazyę i oryginalność w pomysłach, oddaje hołd jego poglądom filozoficznym, wysoce humanitarnym i szlachetnym i z całą rozkoszą zatrzymuje się wzrok od czasu do czasu na jakimś pojedynczym szczególe z dużą mestryą wykonanym, nad dobrym zestrojem tonu ogólnego, choć przewaga tymczasowości i pośpiechu zaczyna nużyć w końcu.

Goya był raczej agitatorem i pamflecistą, rzucającym swe pomysły wtedy, kiedy czuł, że najsilniejszy wywrą efekt; nie efekt artystyczny, lecz sensacyę kroniki bieżącej, dowcipnej lub głębokiej odpowiedzi, którąby, jak mu się zdawało, straciła prawie całą swą wartość, gdyby się spóźniła.

Goya był jednak z temperamentu i usposobienia urodzonym artystą, wskutek czego akwaforty, które w jego oczach były tylko środkiem agitacyjnym, nie straciły wartości równocześnie z ustaniem pobudek, jakie je wywołały. Tak potrafił uogólnić w nich ilustracyę wypadków bieżących, że sięgnęły głębiej i szerzej, tworząc dzieło, chłoszczące jadem satyry lub szlachetnem oburzeniem czyny ludzkie, popełniane wszędzie i zawsze, po wsze czasy tam, gdzie ludzkość podporządkowuje osobistą wartość człowieka różnym pobocznym względom, i gdzie siła decyduje, po czyjej stronie jest prawo.

Takiemi są akwaforty Goyi z cyklu: „Okropności wojny,“ z oddzielną częścią, zatytułowaną: „Rok głodu.“ Takim też jest cykl „Fantazyi,“ lecz wmawiać, że Goya miał te szersze intencye w czasie ich tworzenia, byłoby ryzykownem i sztucznem. Jego unosił zapał człowieka, stojącego na barykadach, który mierzy w najbliższe szeregi nieprzyjaciół i ubiega się tylko o doraźny i bezpośredni skutek swej strzelaniny.

Sztuka nie zna szablonu, wymagającego od wszystkich dzieł jednakowego wykończenia i decydującego o ich artystycznej wartości, ale zato sztuka wymaga bezwarunkowo harmonii treści z formą. W każdem dziele trzeba użyć tej formy, która pozwala na wyrażenie wszystkiego, co artysta ma do powiedzenia. Zaniedbanie więc tej formy czy to z pośpiechu, czy z nieudolności, musi bezwarunkowo wpłynąć ujemnie na ostateczne rezultaty.

Ten Hiszpan, który chwytał gorączkowo wilgotne jeszcze kartki Goyi, nie szukał w nich z pewnością zadowoleń wybrednego estety, ale plastycznego odtworzenia tych wszystkich uczuć, jakie duszę jego w owych dniach walki i nieszczęść szarpały.

Twórca i publiczność ówczesna wybornie się rozumieli, więc popularność tych kartek była wielka i o mało nie ściągnęła na artystę surowej ręki Świętej Inkwizycyi.

Goya drwił z całego dworu, z klas możnych a głupich, z hipokryzyi, obłudnej moralności, potajemnie pielęgnującej zgniliznę, oburzał się na okrucieństwa zwycięzkiej armii Francuzów i wykazywał straszne ofiary głodu, jaki wskutek wojny kraj nawiedził.

I my też nie stoimy dziś obojętnie wobec tych kart przyżółkłych, bo wołają one do nas językiem zrozumiałym uczuć i cierpień ogólno-ludzkich, niemniej jednak nie możemy uznać ich wszytkich ryczałtem za skończone dzieła sztuki.

Właśnie, jakby dla porównania mamy w sąsiedniej salce szereg akwafort, akwatint Hermana Stuck'a. Artysta ten ani filozofował, ani szkicował na barykadach, lecz zato każdej pracy nadał formę skończoną artystyczną i subtelną, bez czego najlepszy choćby pomysł nie może wyjść ze sfery zamiarów i niedomówień.

Goya nas interesuje i zapala, gdy na Stuck'a spoglądamy może obojętniej, nie mniej jednak żałujemy, że Goya nie nadał swym cyklom formy tak skończonej, jaką odznaczają się prace Stuck'a.

* * *

Z artystów polskich spotykamy w Salonie Krywulta dobrą kompozycyę olejną Alchimowicza, znaną z reprodukcyi kolorowej w *Tygod. Ilustrowanym* p. t. „Nad grobem Robaka,“ kilka akwarel Fałata i portrety rysunkowe Antoniego Kamieńskiego, z których „Siostry“ można zaliczyć do najlepszych prac artysty. Dwie te młode postacie kobiece są pełne wdzięku i naturalnej elegancyi.

Zwrócił też naszą uwagę Kazimierz Grodzicki kilkunastu rzeźbami mniejszych rozmiarów. Dużo w nich jeszcze braków i nieumiejętności, lecz nie można nie wyróżnić pary dziadów „Z pod Powązek,“ bardzo dobrze zaobserwowanych i charakterystycznych.

Sierp.

POEZYE

OSTATNIA UCIECZKA.

Bodajem nie doświadczył, co marzeń raj złoty,
Pełen nieziemskich blasków i czarów wszech-
[mocy!
Bodajby mi opadły raz skrzydła tęsknoty,
I złuda odmówiła krzepiącej pomocy!...

Bodajbym nie skosztował słonecznej pieszczoty,
Mając w czarnej, otchłannej pogrążyć się nocy!
Bodajby mnie wichrowe pognały burz loty
Na jaki ląd posępny, pusty i sierocy...

Zdala od złud i bytu, co mamidła tworzy,
Gotując rozczarowań i zawodów plagi,
I lęka się, jak zbrodzeń, światła prawdy na-
[giej. —

Gdzieś u brzegów dalekich, dzikich skał pod-
[nóża,
Może na jakiej wyspie, co wśród morza pływa
Byłaby moja dola nareszcie szczęśliwa...

Wiktor Dzierżanowski.

NA MARGINESIE.

Biała Australia. Federacya australska przechodzi obecnie bardzo ważną ewolucyę: usiłuje na drodze ustawodawczej powstrzymać wielki napływ ludów rasy mongolskiej: Chińczyków i Japończyków, aby zatrzymać tę rozległą i bogatą ziemię wyłącznie na użytek rasy białej. Sprawa jest niezmiernie ważna i niepomyślne jej rozwiązanie grozi ludności białej bardzo poważnem niebezpieczeństwem. Niema nadziei skierowania emigracyi europejskiej,

która byłaby najbardziej pożądana, do Australii dopóty, dopóki będą dla niej otwarte Stany Zjednoczone, Kanada i Ameryka Południowa; najbliższym zaś Australii lądem stałym, cierpiącym w tej chwili na przeludnienie, jest Azya: Chińczycy i Japończycy już od dawna przesiedlają się do Australii, a Hindusi byli tu sprowadzeni od szeregu lat, zwłaszcza do Queenslandu, do robót w tropikalnych częściach kontynentu, gdzie europejczycy rzekomo pracować nie są zdolni. Zalew ras innych jest dlatego niebezpieczny, że nie są one podatne ani nawet skłonne do przyjęcia kultury zachodniej, a konkurencya z niemi na rynku pracy jest dla rasy białej wprost niemożliwa.

Wzbronienie przystępu rasie żółtej do Stanów Zjednoczonych jest sprawą bardzo prostą: Stany same o sobie radzą i niepotrzebują się nikogo o zezwolenie pytać; wszystko więc ogranicza się do złego wrażenia w Pekinie lub w Tokio. Inaczej rzecz się ma z nową federacyą Australską. Ta musi się liczyć z wielkiem imperyum Brytańskiem, w którego interesie nie leży wcale zrażanie sobie ludów azyatyckich, bo z nimi John Bull pragnie stałych stosunków handlowych. Nie można przed Chińczykami i Japończykami zamknąć portów australskich, gdyż niestety handel chciwej zysków metropolii spotkałby się natychmiast z utrudnieniami. Przeciwko zakazowi przywozu Hindusów protestują znowu energicznie mieszkańcy Queenslandu, twierdząc, że pozbawienie ich robotnika azyatyckiego równa się zrujnowaniu całego szeregu gałęzi przemysłu a zwłaszcza uprawy trzciny cukrowej, w której zostały ulokowane ogromne kapitały angielskie.

Ponieważ większość nowego parlamentu domagała się bezwarunkowo ograniczenia a nawet zniesienia emigracyi azyatyckiej przeto postanowiono za zgodą rządu centralnego użyć wątpliwej wartości półśrodka a mianowicie: wymagać od każdego emigranta napisania prośby o pozwolenie wylądowania w jednym z pięciu głównych języków europejskich. W ten sposób rząd ma nadzieję uniemożliwić emigracyę do Australii ludom azyatyckim rasy żółtej, jakkolwiek znawcy tych zawiłych stosunków twierdzą, że wielu sprytnych Chińczyków i Japończyków potrafi tę trudność ominąć.

Dla mieszkańców zaś Queenslandu trzeba będzie obmyślić jakąś indemnizacyę, w innym bowiem razie pretensye ich z powodu ruiny majątkowej byłyby całkowicie uzasadnione. Niektórzy twierdzą, że biała rasa jest zupełnie zdolną do pracy w strefie podzwrotnikowej; gdyby pod naciskiem konieczności twierdzenie to okazało się prawdziwe, skutki jego byłyby niesłychanie doniosłe dla całego przyszłego rozwoju kulturalnego naszej planety. Warto więc ponieść pewne znaczne nawet ofiary, byle tylko przekonać się, czy to jest prawdą, czy fałszem. Cokolwiekbądź, nie ulega wątpliwości, że federacya Australska nie zejdzie z raz obranej drogi i że w ten czy inny sposób bogaty i żyzny kontynent Australski zostanie zachowany jedynie dla rasy białej.

Tak na tę sprawę zapatruje się pisarz amerykański Hugh. H. Lusk, którego poglądy przytoczyliśmy w powyższem streszczeniu, jako ciekawy objaw przekonań, panujących w Stanach Zjednoczonych, wśród rasy anglosaskiej.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

— *Prawit. Wiestnik* ogłasza:

„W istytucie lekarskim, żeńskim w Petersburgu, pod koniec lutego dostrzegać się dało pewne wzburzenie wśród słuchaczek, wywołane ogłoszeniem projektu przepisów, ustanawiających porządek egzaminów przejściowych. Wzburzenie to, potęgujące się ciągle, doprowadziło w d. 10 (23) marca do tego, że o godzinie 5 po południu w audytoryum anatomicznem zebrało się wbrew przepisom około 600 słuchaczek. Przekładania dyrektora instytutu, a następnie i kuratora okręgu naukowego, nie osiągnęły skutku i zebranie trwało trzy godziny. Ze względu na upór większości słuchaczek, które protestowały przeciw zastosowaniu przepisów, opracowanych przez radę instytutu i już w d. 8 marca zatwierdzonych przez ministeryum oświaty, wszystkie wykłady i prace w instytucie od d. 11 (24) marca zawieszono aż do dalszego rozporządzenia. Zanotowane uczestniczki zebrania oddano pod profesorski sąd dyscyplinarny, który nałożył kary na 345 słuchaczek: 28 skazano na różne kary, przewyższające naganę, lecz nie dochodzące do stopnia, równającego się wydaleniu z instytutu, pozostałym zaś 317 udzielono nagany. Następnie 28 słuchaczek, uznanych za najwinniejsze, wezwał dyrektor do instytutu dla zganienia ich według uchwały sądu profesorskiego, lecz 27 z nich nie chciało poddać się wezwaniu.

Zarządzający ministeryum oświaty, widząc w takiem postępowaniu nietylko nowe, rozmyślne wykroczenie przeciw rygorowi, lecz zarazem demonstracyjny objaw nieuszanowania sądu profesorskiego, jako też wyłamywania się i na przyszłość z pod przepisów obowiązujących, uznał za konieczne wydalić owe 27 słuchaczek, poczem w d. 27 marca (9 kwietnia) wykłady w instytucie zostały rozpoczęte na nowo.

W uniwersytecie petersburskim porządek zakłócono d. 18 (31) marca, chociaż wykłady toczyły się bez przerwy. W dniu tym grupa studentów w liczbie około 500, zgromadziwszy się poprzednio, wtargnęła o godz. 12 przez podjazd główny i, zapełniwszy szybko taras schodowy naprzeciw sali aktowej, utworzyła zgromadzenie zakazane, które wezwań inspekcyi o rozejście się usłuchać nie chciało. Przybyli następnie rektor uniwersytetu i kurator okręgu naukowego nadaremnie usiłowali przywrócić porządek: przyjęto ich ordynarnymi i nieprzyzwoitymi protestami. Przedmiotem obrad dwugodzinnego zgromadzenia były zaburzenia z przed kilkunastu dni w żeńskim instytucie lekarskim, jako też sprawy, niemające zgoła nic wspólnego z życiem akademickiem. Skutkiem tego przeciw 68 studentom, których udział w zebraniu stwierdzono, wytoczono sprawę dyscyplinarną; aby zaś zabezpieczyć prawidłowy bieg rozpoznawaniu sprawy oraz odsunąć nieuczestniczących w zaburzeniach studentów od wpływu agitatorów, którzy mogliby zorganizować nowe demonstracye, wykłady w uniwersytecie przerwano.

Profesorski sąd dyscyplinarny, rozpoznawszy sprawę owych 68 studentów, oraz wysłuchawszy zeznań świadków i oskarżonych, uchwalił: 4 studentom sprawę odroczyć, 4 uniewinnić, 60 zaś uznać za winnych. Z liczby ostatnich, zależnie od stopnia ich winy, prawdziwości zeznań i innych okoliczności, sąd skazał 14 studentów na wydalenie z uniwersytetu petersburskiego na zawsze, lecz bez pozbawienia ich prawa wstąpienia do innych wyższych zakładów naukowych, 21 na czasowe uwolnienie z uniwersytetu, 7 na naganę i przeniesienie do rzędu wolnych słuchaczów, 4 na przeniesienie do rzędu wolnych słuchaczów, 12 na naganę i 2 na upomnienie. Wyrok ten, po odpowiedniem zatwierdzeniu przez kuratora okręgu naukowego, uzyskał moc i w d. 28 marca st. st. znowu otworzono bibliotekę uniwersytecką, kancelaryę i niektóre laboratorya oraz lokale stowarzyszeń naukowych. Ze względu na zbliżające się ferye wielkanocne, wykładów nie wznowiono po zapowiedzianej przerwie zajęć, egzamina jednak będą się odbywały zgodnie z planem zatwierdzonym i w swoim czasie ogłoszonym.

Ponieważ w ciągu lat ostatnich, kiedy to bieg normalny życia uniwersyteckiego bywał nieraz naruszany, władza naukowa i władze administracyjne zwracały uwagę, że będąca pod zarządem Towarzystwa pomocy dla niezamożnych studentów uniwersytetu petersburskiego kuchnia studencka jest miejscem, w którem najniespokojniejsi z pośród kształcącej się młodzieży zgromadzają się na narady nad sprawami organizacyi t. zw. strajków studenckich, obstrukcyi itp., kuchnia, po porozumieniu się ministra spraw wewnętrznych z zarządzającym ministeryum oświaty, została zamknięta.“

— *Wil. Wiestnik* donosi: Generał-gubernator wileński, ks. Światopełk-Mirski, stosownie do ustawy o ochronie wzmocnionej, skazał 42 osoby na areszt trzymiesięczny a 36 na dwumiesięczny. Wszyscy skazani są wyznania żydowskiego, wśród nich kilka kobiet.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum spraw wewnętrznych zatwierdziło ustawy: kaliskiego Towarzystwa wzajemnej pomocy na wypadek śmierci p. n. „Zapomoga,“ oraz Kas posagowych dla chrześcian w Piotrkowie i w Błaszkach (gub. Kaliskiej).

— *Torg. Prom. Gaz.* donosi, że w naradach nad sprawami ludności małorolnej poruszono projekt zobowiązania mieszczan, właścicieli ziemi nadanej, aby powrócili do stanu włościańskiego lub też sprzedali swoje grunty członkom gminy wiejskiej.

— W *Gazecie Polskiej* czytamy: Przyjaciele Adolfa Dygasińskiego, zajmujący się sprawą budowy pomnika na jego grobie, zrobili już przedwstępną umowę z artystą - rzeźbiarzem, p. Czesławem Makowskim. Pomnik ma być wykonany z marmuru kieleckiego, bronzu i granitu. Na Powązkach powinien stanąć już na jesieni r. b., o ile składki w dalszym ciągu równie raźnie będą napływały, jak dotychczas. Obecnie komitet budowy jest w posiadaniu niespełna 1,000 rb., brak więc jeszcze drugie tyle.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty wyjaśniło, że osoby, pragnące zająć w seminaryach nauczycielskich stanowisko nauczyciela śpiewu, powinny posiadać, oprócz kwalifikacyj pedagogicznych, znajomość dokładna przedmiotu lub przynajmniej praktykę nauczania śpiewu w szkołach początkowych.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że w komisyi, obradującej nad sprawami uniwersytetów, zgodzono się na dopuszczenie kobiet do studyów.

Z Poznańskiego. *Hannov. Cour.* donosi, że żonaci z Polkami urzędnicy Niemcy w Opolskiem przeniesieni będą wkrótce do Westfalii i Nadrenii.

Ze sztuki. Na konkursie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, ogłoszonym na prace artystyczne, w dziale malarskim pierwszej nagrody nie przyznano żadnemu dziełu, drugą (300 rb.) otrzymał p. Ludomir Janowski, trzecią (200 rb)—p. Edward Okuń. Oprócz tego przyznano listy pochwalne pięciu artystom, pp.: Kazimierzowi Stabrowskiemu, Kazimierzowi Purzyckiemu, Stefanowi Popowskiemu, Bronisławowi Kowalewskiemu i Gustawowi Gwozdeckiemu. Dwaj pierwsi oprócz listów pochwalnych otrzymali dodatkowo po 100 rb. W dziale rzeźby pierwszą nagrodę (400 rb.) przyznano p. Tadeuszowi Bylewskiemu, drugą (200 rb.) pani Julii Stabrowskiej. Sędziowie postanowili nadto utworzyć trzecią nagrodę nadzwyczajną, w celu uznania talentu pracy niewiadomego autora pod godłem „Lud.“ Nagroda ta wynosi 100 rb. Listy pochwalne otrzymali pp. Ksawery Dunikowski, Stanisław Jagmin i Stanisław Chrzanowski.

— Z pośród 25 prac, nadesłanych na konkurs, ogłoszony przez delegacyę architektoniczna Muzeum przemysłu i rolnictwa, z inicyatywy p. P. J., właściciela majątku Raszków, w gub. Podolskiej, na projekt dworu wiejskiego w stylu swojskim, pierwszą nagrodę (300 rb.) przyznano p. H. Stifelmanowi z Warszawy, dragą (200 rb.) pp. E. Bertaud i A. Gravier z Paryża. Nadto wyróżnione zostały prace oznaczone godłami: „Podole,“ „Na kresach,“ „As karo“ i „Dwór.“

— Wydział krakowskiego Towarzystwa „Polska sztuka stosowana“ ogłosił konkurs na projekt domu o charakterze swojskim, przeznaczony na szkołę wiejską, ochronę i mieszkanie dla dwóch nauczycielek. Nagroda 600 koron. Termin nadsyłania prac pod adresem Towarzystwa (ul. Wolska nr. 14, w Krakowie) oznaczono na d. 20 czerwca r. b.

Literatura i prasa. We Lwowie zaczęło wychodzić pismo rusińskie p. t. *Ruski Selenin*, drukowane czcionkami fonetycznemi.

Sprawy ekonomiczne. *Siew. Zap. Słowo* ogłasza, że na zasadzie postanowienia senatu osoby pochodzenia

polskiego, którym na mocy prawa z d. 10 grudnia 1865 r. zabroniono nabywania majątków nieruchomych w 9 guberniach zachodnich, nie mają również prawa wykupywania swych majątków rodowych.

— Rada rolnicza ministeryum rolnictwa, w celu rozwoju wyrobu masła i sera, uznała za pożądane powiększenie liczby szkół mleczarskich i szkół hodowli bydła, założenie średniego instytutu mleczarskiego, rozszerzenie działalności i powiększenie liczby instruktorów, zakładanie laboratoryów doświadczalnych, oziębiaczy, otwieranie mleczarń przemysłowych, wydawanie przez ziemstwa lub przez odpowiednie instytucye postanowień, obowiązujących celem poprawy warunków mleczarstwa, ułatwienie kredytu ziemstwom i spółkom włościańskim, ustanowienie agentów zagranicznych.

Koleje i komunikacye. Stacye kolei Bydgoskiej, Kowel i Ostrowy, od stycznia roku przyszłego nosić będą nazwy Czerniewice i Krośniewice.

— Ministeryum komunikacyj otrzymało od rządów austryackiego i niemieckiego propozycyę wzięcia udziału w sprawie połączenia Elby z Dniestrem, czyli morza Baltyckiego z Czarnem przy pomocy Elby, Odry, Wisły, Sanu i Dniestru w blizkości Odesy. Projektowana komunikacya byłaby najkrótszą drogą od morza Czarnego do Europy północno-zachodniej; dzięki jej miasta Hamburg, Lubeka, Szczecin, Warszawa, a także Wiedeń — byłyby połączone z morzem Czarnem, ponieważ od Sanu ma być przeprowadzony kanał boczny na Dunaj—Odrę.

— Włoskie ministeryum robót publicznych postanowiło przeprowadzić tunel przez Apeniny.

— Departament kolejowy zawiadamia, że taryfa ulgowa na przejazd młodzieży szkolnej rozciąga się i na kolejki podmiejskie — Wawerską i Grójecką.

Katastrofy. Miasteczko Warka, w pow. Grójeckim, nawiedził pożar, w którym około 300 rodzin ubogich straciło całe swe mienie.

— Pod Zabrzem, na Śląsku Górnym, skutkiem pożaru, wznieconego przez gazy w kopalniach węgla, nastąpił wybuch, którego ofiarą padło 21 górników.

— Wieś Tiojo, w Kolumbii, została zniszczona przez wybuch wulkanu; kilkadziesiąt osób utraciło życie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Realiście. Pracować dalej, pogłębiać się, cierpieć.

Al. Or. Drukować nie będziemy. Nieopracowane i sztuczne. Rękopis odesłaliśmy pod wskazanym adresem.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 3 Апрѣля 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.